NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 22 kwietnia 1905 r. Nr. 17.

Chłopi polscy przed generał-gubernatorem warszawskim.

(Do artykułu na str. 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku!

Od Redakcyi.

Wszystkim Prenumeratorom, Czytelnikom, Korespondentom i Przyjaciołom naszego pisma — zasyłamy serdeczne życzenia wesołego *„Alleluja“.* *Redakcya.*

ALLELUJA!

Z pierwszem zaraniem budzącej się wiosny,
Gdy ptak swobodny popod niebem buja,
Rozbrzmiewa w sercu jakiś hymn radosny,
Hymn zmartwychwstania — boskie *Alleluja!*
Nowa nadzieja tli w sercach u ludzi:
Z snu zimowego przyroda się budzi!

Bieży wieść wielka, doniosła i święta,
Wieść tryumfalna dla ziemskiego globu:
Zbawiciel świata zerwał śmierci pęta!
Dziś Jezus Chrystus wstał do życia z grobu,
Opromieniony Boskim majestatem,
Tęczę pokoju rozwiesił nad światem!

Ale nie wszędzie tęczy blask dociera,
Bo jest kraina, co swą krwią opływa,
Której wolności nie zabłysła era,
Którą przemocy krępują ogniwa,
Co katowana — w beznadziejnej męce,
Z rozpaczą wznosi do niebiosów ręce!

Biedni synowie tej gnębionej ziemi
Wolą satrapy gnani w obce strony,
Giną we walce pomiędzy obcemi,
Schodzą w dni kwiecie w grób niepoświęcony,
Na którym tylko kracze dzikie ptactwo
I opłakuje ich los i tułactwo.

Ziemia to nasza, gdzie gnębionych jęki
Płyną ku Niebu z rozpacznym protestem
I żyje naród, co w chwilach swej męki
Mówi do świata: Cierpię, a więc jestem!
Jego nie straszy, ani nie ośmiela
Żadna katorga, ani cytadela!

Za nieszczęśliwe te ziemie ojczyste,
Za naszą Polskę, naszą Ruś i Litwę
W dniu Zmartwychwstania przyjmij Jezu
[Chryste
Prześladowanych serdeczną modlitwę:
Przez Krzyż i rany, któreś cierpiał Panie
Nieszczęsnej Polsce racz dać zmartwych-
[wstanie!

K. K.



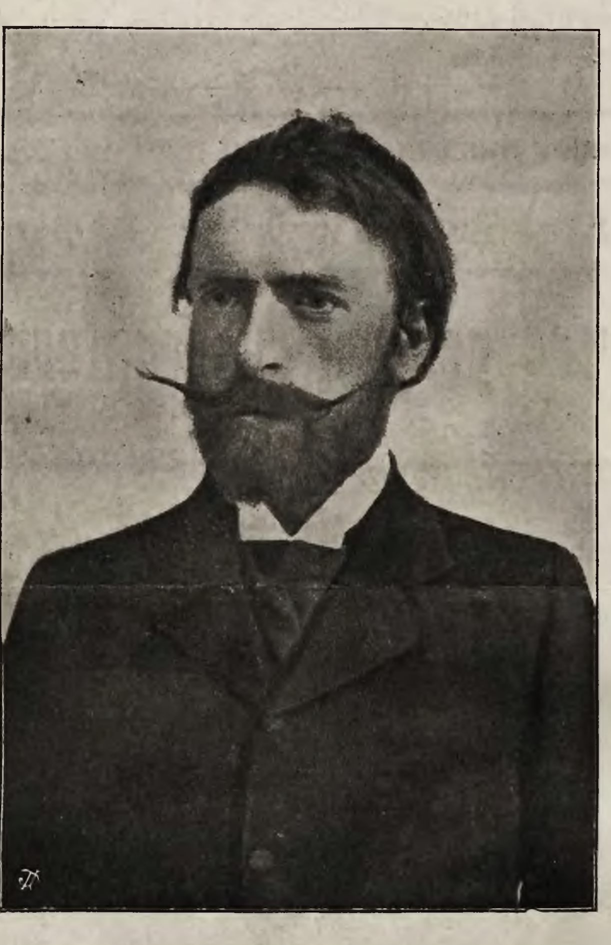
Walka o teatr krakowski: Józef Kotarbiński, obecny dyrektor teatru miejskiego w Krakowie.

Chłopi polscy przed generał-gubernatorem warszawskim.

(Do illustracyi tytułowej).

Rewolucya w Królestwie polskiem, mająca w początkach cechy haotyczne i nieokreślone — dzisiaj krystalizuje się, przybiera konkretne kształty i występuje świadomie ze swemi żądaniami. Dawniej postulaty te gubiły się w mglistych, niejasnych i niewłaściwych dla naszego społeczeństwa, kwestyach międzynarodowej demokracyi, a strejki miały doniosłość jedynie ekonomicznej natury. Dzisiaj uświadomione społeczeństwo polskie pod rosyjskim zaborem, żąda solidarnie bez różnicy stanów, kast i zawodów — jednego: unarodowienia wszystkich krajowych i rządowych instytucyj, zarówno administracyi państwowej — jak szkoły, sądu, jak nie mniej i zarządu gminnego.

Te świadome swej doniosłości i godne dziejowego obecnego przełomu żądania — po za małą, a wzgardzoną grupą ugodowców i międzynarodowych idealistów — postawiło solidarnie całe społeczeństwo. Adwokaci, pedagodzy, rzemieślnicy i włościanie, dorostki i młodzież — wystąpili z słusznymi pretensyami: nadanie konstytucyjnej formy zarządowi Królestwa i wprowadzenie języka polskiego.



Walka o teatr krakowski: Stanisław Wyspiański, literat i kandydat na dyrektora teatru krakowskiego.

Charakterystycznym, a niezmiernie pocieszającym objawem, jest obudzenie się mas chłopstwa w duchu czysto narodowym. Rząd rosyjski miał jak zwykle jedną odpowiedź na tego rodzaju dążenia: skazał w drodze administracyjnej chłopów na karę aresztu. Kara ta jest dla nich tem dotkliwszą, że zasądzeni włościanie mają obecnie z wiosną największą pracę około roli.

Odsiedzenie kary 5 miesięcy — równałoby się po prostu ich ruinie materyalnej. Zasądzeni chłopi postanowili wtedy w zbiorowej deputacyi udać się do warszawskiego generał-gubernatora i przedłożyć swą prośbę; jeżeli się okażą niewinnymi, uwolnienia ich od kary — w razie stwierdzenia winy — o odroczenie terminu pokuty. 80 włościan z różnych guberni: warszawskiej, siedleckiej, kieleckiej i piotrkowskiej, zjawiło się w dniu 11 b. m. w królewskim zamku w Warszawie, gdzie jak wiadomo ma rezydencyę generał gubernator. Wszyscy odświętnie ubrani, w smutnym poważnym nastroju, każdy z prośbą na piśmie w ręku, przyszli w progi dawnej siedziby królów polskich — by namiestnikowi satrapy moskiewskiego — przedłożyć swą niedolę. W podwórzu zamkowem odebrał dyżurny oficer czerkieski ich petycye porzem kolejno do kancelaryi wprowadzeni — byli wieśniacy poddani najściślejszej rewizyi osobistej, widocznie w obawie przed zamachem z ich strony. Następnie wpuszczono ich do sali posłuchań. Zjawił się w paradnym mundurze generał-gubernator Maksymowicz — i przy pomocy tłómacza, gdyż sam krajowego języka nie rozumie — musiał wysłuchać zażaleń chłopów.

Maksymowicz — jak zresztą było do przewidzenia zbył petentów ogólnikowemi niejasnemi i do niczego nie zobowiązującemi go obiecankami. Sprawę poleci zbadać, winnym karę odroczy — niewinnych uwolni. Zależy więc od dobrej woli, o którą czynowników rosyjskich posądzać nie można — kwestya bytu polskich włościan.

Załączona rycina wykonana została przez naszego rysownika warszawskiego, a przedstawia ona chwilę, gdy generał-gubernator zjawia się przed nimi w asystencyi dyżurnych oficerów — i odpowiada na prośby włościan.

Walka o teatr krakowski.

Losy teatru krakowskiego ważą się obecnie. Bezkrwawa walka o fotel dyrektora tej pierwszej sceny polskiej — absorbuje umysły nietylko mieszkańców Krakowa, ale rozbrzmiewa szerokiem echem, aż po kresy Polski. Trudno się dziwić temu zainteresowaniu ogólnemu, temu naprężeniu umysłów w jakiem oczekiwany jest ostateczny wynik trzech obecnie zdecydowanych kandydatów. Nie zapominajmy bowiem, że scena krakowska i lwowska, są to dwa jedyne posterunki polskiej „sztuki żywego słowa“ — będące względnie w lepszych warunkach moralnych.

Tu bezmyślna nienawiść moskiewska, ani wyrafinowane okrucieństwo prusaka — do wszystkiego co polskie — w pierwszym rzędzie więc do polskiej mowy — nie wyrabia bezkarnie takich orgii prześladowań — jak pod dwoma innymi zaborami. To też dwa te posterunki strzegące polskiej sztuki, ideałów społecznych i czystości ojczystej mowy, mają niezmiernie doniosłe dla nas znaczenie, ale i równocześnie wkładają wielką odpowiedzialność na barki swych kierowników.

Obecna konstelacya kandydatów na dyrektora krakowskiej sceny, jest niezmiernie ciekawą dla swej różnorodności. Mamy tu więc starego maruderа sztuki, nie mającego nic wspólnego z nowymi prądami i hasłami — dotychczasowego kierownika tej sceny, Józefa Kotarbińskiego. Kandydatury tej na seryo nie można brać wcale. Wszak jego zasługa — a smutna to zaiste zasługa — zupełny upadek naszej sceny, wyzbycie się z repertuaru najwybitniejszych sił autorskich, a z personalu teatru najwytrawniejszych artystów. Kandydatura taka nie ma najmniejszych szans powodzenia.

Drugą kandydaturę — poety Wyspiańskiego uważać należy za piękny poryw poetyckiej fantazyi, za rwanie się geniuszu do czynu, za poczucie sił duchowych. Czy jednak p. Wyspiański sił swych nie przecenia w tym kierunku, Odpowiedź musi niestety wypaść: „tak“! Nie kwestyonując wcale niepospolitych zdolności poety — jego poświęcenia



Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.

Walka o teatr krakowski: Ludwik Solski, znakomity artysta i reżyser teatru lwowskiego.



Spisek przeciw republice: Dom na przedmieściu Paryża, gdzie policya znalazła skład naboi karabinowych.

i chęci pracy — musimy jednak przyznać, że ani siły fizyczne, ani środki materyalne Wyspiańskiego, jego usposobienie wreszcie, nie dają mu kwalifikacyi na dyrektora teatru.

Trzecim najpoważniejszym i najodpowiedniejszym kandydatem — jest zdaniem kompetentnych p. Ludwik Solski. Wytrawny znawca stosunków teatralnych, znakomity artysta i człowiek wysokiej kultury umysłowej — byłby najodpowiedniejszym do objęcia kierownictwa sceny krakowskiej. On jedynie skołataną dotychczasowym nieumiejętnem kierownictwem nawę teatralną — może obronną ręką na głębie artystyczne wyprowadzić i tego też krakowskiej scenie szczerze życzyć należy.

Wyniku trudno się domyśleć. W ostatnich dniach rozeszły się alarmujące pogłoski, jakoby p. Solski zrzekł się swej kandydatury. Pogłoski te mają źródło w nieuczciwej, a zaciętej konkurencyi z jaką walczą pp. Kotarbińscy przeciw jedynemu kandydatowi, przedstawiającemu dla nich istotne niebezpieczeństwo. Osłabiwszy lub udaremniwszy jego zabiegi — mają pp. Kotarbińscy pewne szanse powtórnego wtargnięcia do przybytku „sztuki narodowej“. A byłoby to naprawdę pogrzebaniem wszystkich lepszych nadziei i inspiracyi krakowskiego teatru — na całe długie 6 lat!..

Spisek przeciw republice.

Z końcem marca zarządziła policya paryska śledztwo i rewizyę w jednym z domów na przedmieściu Paryża, którego urządzenie dało jej wiele do myślenia. Z piwnic porobiono trzypiętrowe mieszkania w głąb ziemi, a wysokie mury otaczały go jak fortecę. Właściciel jego tłómaczył się, że poczynił te urządzenia dlatego, gdyż chciał tam założyć winiarnię. Znaleziono jednak przy rewizyi pewne zapasy broni, wskutek czego aresztowano podejrzanego „winiarza“. Śledztwo i dalsza akcya policyjna, wywołały jednak nowe aresztowania. Początkowo nie przykładano większej wagi do tych aresztowań, gdyż zdawało się, że idzie o zwykłą szopkę, którą ruchliwa fantazya francuska rozdmuchała do rzędu wielkiego zdarzenia. Przed tygodniem aresztowano jednak byłego kapitana wojsk kolonialnych Tamburiniego, w którego mieszkaniu znaleziono kilkaset mundurów dla piechoty, zakupionych rzekomo w domu *„Au chat noir“* dla jednego z przyjaciół, zarządcy magazynu wojskowego, któremu kilkaset takich mundurów zginęło.

Wkrótce jednak zaczęły wychodzić coraz to nowsze szczegóły, które utwierdziły policyę, że ma do czynienia ze spiskiem, uknutym przeciwko republice. W jednym z domów na przedmieściu znaleziono mianowicie skład ładunków karabinowych, a równocześnie prezydent ministrów Rouvier i radykalny deputowany Rabier otrzymali listy, które przestrzegały ich przed sprzysiężeniem wojskowem. W listach tych przysłanych im przez republikańskich oficerów, ostrzegano Rabiera i Rouviera, że różne osobistości znane ze swych monarchicznych przekonań, między innymi i generał Négrier, agitują wśród wojska na rzecz księcia Wiktora Napoleona i że do spisku i zamachu przygotowano już wszystko: broń, karabiny, amunicyę, i mundury, a wszystko złożono w bezpiecznem miejscu.

Obecnie jest rzeczą pewną, że policya wpadła rzeczywiście na ślady spisku, zgłaszają się bowiem, ze wszystkich pułków i różnych garnizonów



Spisek przeciw republice: Jeden z mundurów piechoty, zakupiony w domu „Au chat noir“ a znaleziony u kapitana Tamburiniego.

oficerowie, którzy opowiadają, że Tamburini usiłował ich, oraz prostych żołnierzy werbować do służby, rzekomo dla założenia kolonii w Afryce. Powoływał się na różne wybitne osobistości, które miały taką wyprawę materyalnie poprzeć. Kapitan Tamburini, główna osoba spisku chciał dokonać zamachu stanu, uwięzić głównych przywódców republikańskich, cały obecny rząd republikański i ogłosić cesarstwo francuskie. Do solidaryzujących się z zamachami na republikę, należy także niedawno założone pismo bonapartystyczne *„Les Annales“*, które ogłaszało podburzające odezwy i ofiarowywało prenumeratorom jako premię karabiny. Wśród aresztowanych na żądanie sądu prowadzącego śledztwo, znajduje się także kapitan Volpert.

Kapitan Tamburini urodził się w roku 1863 w Spoleto (we Włoszech), a wstąpiwszy do wojska francuskiego, brał udział w wielu wyprawach kolonialnych. W r. 1900 otrzymał nominacyę na kawalera legii honorowej.

Jaki będzie wynik tej afery — pokaże rozpoczęte przez władze śledztwo. Policya przedsięwzięła szereg aresztowań i na razie nie wiadomo jeszcze, jaki charakter przybierze cała afera.

Obok zamieszczamy podobizny głównych aresztowanych spiskowców i fotografie domów, w których odbyły się kompromitujące Tamburiniego rewizye.



Spisek przeciw republice: Aresztowany były kapitan wojsk francuskich: Volpert.



Spisek przeciw republice: „Au chat noir“, gdzie kapitan Tamburini zakupił znalezione w jego domu mundury.

Cywilny ślub polskiego literata.

Stanisław Przybyszewski — pomijając już jego fenomenalny, zdumiewająsy talent, który utorował mu drogę do światowej sławy i rozgłosu — sam własną osobą i indywidualnością jest niepospolitem, napół genialnem, napół psychopatycznem zjawiskiem. A tak, jak duchowa jego fizyonomia jest trudną do dokładnego poznania i okiełzania, podobnie i zewnętrzny wygląd wyjątkowego tego człowieka robi dziwne, równie nieokreślone wrażenie. Jest w nim coś z mistyka-fatalisty, coś z demona zaklętego w człowieczą postać.

Życie jego było tak samo burzliwe i kipiące namiętnościami, jak jego twórczość.

W krótkim czasie przebiegł całą Europę, poprzedzany niebywałą senzacyą i – reklamą. Porywał za sobą młode umysły i serca kobiet, aż poznawszy piękną, ekscentryczną i obdarzoną wielkim talentem Szwedkę, połączył się z nią dozgonnymi węzłami. Ale szczęście jego nie długo trwało. Poetyczna Dagny zginęła straszną, a tajemniczą śmiercią na Kaukazie — a Przybyszewskiemu sądziły losy poznanie drugiej kobiety, nie tyle pięknej może, jak posiadającej nad nim wpływ niezwykły. Żona najlepszego przyjaciela, p. Kasprowiczowa — nie wahała się porzucić domu, męża i dwojga dzieci, by z ukochanym pospieszyć w świat daleki. Przed kilku dniami doniosły dzienniki, że Stanisław Przybyszewski, literat, wdowiec, zawarł ślub cywilny w Inowrocławiu z rozwiedzioną z swym mężem, p. Kasprowiczową. Jest to smutny ostatni akt eksplacyi życia i czynów Przybyszewskiego. Oderwawszy żyjącą dotychczas uczciwie wśród rodziny i społeczeństwa, dał ostatniej swej miłości to, co genialny szaleniec dać może: przyblakłą sławę, stargane serce i — urzędowe nazwisko.

Przybyszewski nie zapomniał jednak pierwszej swej żony. Pamięć jej żyje wciąż w sercu poety i znając już p. Kasprowiczową z Warszawy, ze łzami w oczach wspominał nieraz o nieszczęśliwej Dagny. Zwykła to kolej uczuć ludzkich! Po wielkich monarchiniach następują zazwyczaj małe, udzielne księżne serc naszych!..

W niniejszym numerze podajemy, jako uzupełnienie artykuliku – portret gienialnego pisarza, a ekscentrycznego człowieka i kochanka.



Spisek przeciw republice: B. kapitan wojsk kolonialnych Tamburini.

KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

29 (Ciąg dalszy).

— Bądź zdrów! Wezmę dorożkę na Placu Teatralnym, bo w rzeczy samej spieszyć się trzeba.

Bogajewski wyjął z kieszeni notatnik i zapisał w nim adres.

Poczem uścisnął rękę młodego człowieka, który spiesznie zwrócił się ku ulicy Niecałej, sam zaś wyszedł z ogrodu pierwszą bramą przy Królewskiej. Przebiegł żwawo plac kościoła ewangielickiego i Mazowiecką, aby na rogu Święto-Krzyskiej i Nowego Światu, wstąpić na schody, wiodące do kawiarni Aleksandryny, położonej wówczas na zbiegu tych dwóch ulic na pierwszem piętrze. Grzmiała w niej huczna, chociaż niestrojna, orkiestra i rozlegały się gardłowe trele niemieckich szansonistek.

. . . .

Franciszka, w szczupłem swojem pomieszkaniu na Ordynackiej, pracowała pilnie.

Przykre wrażenia, doznawane ciągle od dnia, w którym jej mąż zawładnął cichem niegdyś gniazdeczkiem biednej wyrobnicy, budziły się i odżywały nieus'annie w jej pamięci, wywołując bolesne ściskanie serca.

W tem rozległ się brzęk dzwonka u drzwi wchodowych. Pogrążona w dumaniach, drgnęła całem ciałem.

Kto mógł do niej dzwonić o tak spóźnionej porze?

Chwilę wahała się, czy ma otworzyć, lecz zapanowawszy siłą woli nad niepokojem, zbliżyła się do drzwi i odsunęła zatrzask. Przed nią, wpółcieniu, stała postać kobiety czarno ubranej.

— Genia! – zawołała.

— Tak, to ja. Przyszłam, bo byłam niespokojną o ciebie, nie widzieliśmy się tak dawno!

— O, moja Geniu najdroższa, co się z tobą dzieje? Tęskniłam, oczekiwałam... Czy nie byłaś chorą?.. powiedz!

Siadły jedna naprzeciw drugiej i wlepiły w siebie oczy. Franciszka wydała się Eugenii bardzo zmienioną. Przy nikłem świetle lampki naftowej, przykrytej matowo mlecznym szklannym daszkiem, twarz robotnicy przybrała barwę starej kości słoniowej.

— Nie widziałam cię miesiąc cały—rzekła panna Molska.—W ciągu tego miesiąca musiałaś doznać jakichś wielkich przykrości. Dostrzegam to w twoich oczach, zaczerwienionych silniej, niż zwykle, w twojej twarzy, więcej niż kiedykolwiek naznaczonej piętnem znużenia. Pewno nie miałaś roboty i po całych dniach szukałaś jej naprózno. Wszak tak?... nieprawdaż?

Franciszka milczała.

— Czemuż nie udałaś się do mnie?—mówiła dalej Eugenia.—Pracowałybyśmy razem. Byłabym bardzo szczęśliwa, gdybym mogła cię mieć u siebie przez cały miesiąc. Tyle mamy sobie zawsze do powiedzenia; zwłaszcza ja, która tylko przed tobą, zwierzam się z myśli mych i wrażeń.

Bogajewska milczała ciągle. Zwiesiła głowę na piersi, a lada szelest na schodach wprawiał ją w nerwowe drżenie. Lękała się nagłego przybycia męża.

— Czy mnie już nie uważasz za swoją przyjaciółkę? – pytała panna Molska.—Czy już nie masz do mnie zaufania, że nie chcesz przemówić i słówka? A przecież kochamy się od tak dawna. Obojętność twoją wywołać musiało jakieś groźne zdarzenie...

— Och!—jękła Franciszka, chwytając się obu rękami za głowę—gdybyś wiedziała!.. gdybyś wiedziała!

— Mów, zaklinam cię na wszystko, co masz najświętszego... mów zaraz!

— Mąż mój powrócił.

— Ten fałszesz!—szepnęła Eugenia, podnosząc się z krzesła.—Powrócił?.. i widziałaś go?

— Widziałam... widziałam — mówiła Bogajewska, trzęsąc się, jak w febrze. — Och, ty nic nie wiesz!.. nic nie wiesz!

— Nie rozumiem cię... i nie śmiem zrozumieć. Lecz proszę, powiedz...

Gorzki śmiech wykrzywił usta Franciszki.

— Powrócił... i mieszka tu ze mną, jak niegdyś, jak przed laty. Czy ty to pojmujesz?.. Prawie wbrew mojej woli wniósł się do mieszkania, nie odstraszony jego szczupłością... i prawa swoje odzyskał... i jest znowu moim panem...

— On?!.. ten fałszerz?!

— Milcz!.. milcz, na Boga!

— Och, pojmuję, ty go kochasz jeszcze! — zawołała Eugenia przerażona.—Widzę, że jesteś zgubiona na zawsze. Pochwycił cię w żelazne szpony i nie wypuści z nich, dopóki nie uczyni posłusznem narzędziem swego samolubstwa. Nie jesteś już sobą... stałaś się poprostu niewolnicą tego człowieka.

— Co począć miałam? Nie mam prawa go wypędzić, ani uciec od niego... A zresztą, gdybym nawet uciekła, czy sądzisz, że nie goniłby za mną, że nie odszukałby, gdziekolwiekbym się skryła? Pytanie, czyby mnie nie zabił, bo nie wiem... doprawdy nie wiem, co dzieje się w jego głowie... taki uparty! taki uparty!

Po chwili dodała smutnie:

– Nic a nic się nie zmienił. Gdy chce, umie być czarującym, jak niegdyś. Pomimo trosk przebytych, nie postarzał się dotąd...

— Przyznaj, że go kochasz — rzekła panna Molska oburzona, wzruszając ramionami.—Kochasz go jeszcze ciągle, a jarzmo, jakie ci narzucił, nie cięży ci wcale!

— Ty Geniu, nie kochałaś nigdy, więc nie rozumiesz...—szepnęła Franciszka.— Serce twoje nie przemówiło...

– Zkąd wiesz o tem?

Oczy Eugenii zabłysły niezwykłym blaskiem, a usta pobladły.

— Nie zwierzyłam ci się wprawdzie z tajemnic duszy mojej, nie wyznałam wyraźnie, że jedno... jedyne uczucie wypełniło życie moje całe... uczucie, ukrywane w głębi serca. Byłam także młodą... i ja kochałam... miłością wielką, bez granic...

— Jesteś jeszcze młodą... liczysz zaledwie trzydziesty szósty rok życia...

Dziwnie smutny uśmiech wykwitł na ustach Eugenii.

— Jestem starą panną—odpowiedziała.—Spojrzyj na moje czoło, pokryte przedwczesnemi zmarszczkami. Włosy na skroniach moich bieleją... życie dla mnie skończone. Nie zobaczę nigdy człowieka, którego pokochałam przed laty całą siłą młodocianej duszy... i który nie wie o tem. Umrę, unosząc z sobą tajemnicę mojej miłości do grobu.

Franciszka, ledwie dosłyszeć się dającym głosem, szepnęła:

– A tym człowiekiem jest... Marcin Żarski.

– Nie powiedziałam ci tego...

– Tak, lecz odgadłam to po twojej życzliwości dla wszystkich mu bliskich i drogich... dla jego biednej, ślepej matki, dla jego dzieci, których szukałyśmy obie i długo i naprózno. Wzruszenie, jakiego doznałaś, gdyś je odwiedziła raz jeden, a potem spotkałaś się ze mną, czyż nie było dla mnie dostatecznym dowodem twojej miłości dla nieszczęśliwego, który zamknie powieki daleko, na krańcu świata, na Syberyi... jako skazaniec...

— On nie umrze na Sybirze, bo jest niewinny — rzekła panna Molska z głębokiem przekonaniem.

– Opatrzność na to nie zezwoli!

– Och, Opatrzność! Mogła go ocalić, pozwoliła zaś, żeby go skazano. Opatrzność opuściła Żarskiego, jak opuszcza wielu innych!.. Co uczyniła dla mnie twoja Opatrzność, na którą się powołujesz?.. Dzieckiem rzuciła mnie do obcego domu, kędy przecierpiałam wszystkie nędze i męczarnie, jakie istota ludzka znieść może. Potem... potem, postawiła na mojej drodze człowieka młodego, pięknego i majętnego, którego musiałam pokochać i poślubić; a gdy po zawarciu naszego małżeństwa zdawało mi się, że jestem naprawdę szczęśliwa, mąż mój dopuścił się fałszerstwa i porzucił mnie bez litości! W końcu, gdy po ośmiu latach rozłąki, uczułam się nareszcie, jeśli nie pocieszoną, to przynajmniej zrezygnowaną znosić cierpliwie moją biedę i osamotnienie, Opatrzność zsyła mi go na kark niespodzianie, pozwala mu wyzyskiwać moją pracę i gnębić ciężkiem jarzmem despotyzmu i samolubstwa bez granic!

— Franiu! Franiu! na miłość Boską, co mówisz?

— Co dla ciebie uczyniła Opatrzność? Korzysz się przed Nią codziennie w gorących modlitwach i umartwieniach, Ona zaś nie troszczy się wcale o ciebie!

Eugenia przymknęła powieki i milczała.

— Zniosłaś naprzód upokarzającą męczarnię nie odczutej i nie podzielonej miłości. Potem patrzeć musiałaś bezradna, jak człowieka, przez ciebie ukochanego, skazywano na hańbiącą karę za rzekomo popełnioną zbrodnię. Nie zdołałaś go obronić nawet przed własnym ojcem, który musiał wydać nieszczęśliwego w ręce sprawiedliwości. Następnie... następnie, chciałaś opiekować się jego rodziną. Z całej gromadki. nie znalazłaś, pomimo gorliwych poszukiwań, ani ślepej babki, ani obu sióstr-bliźniąt, ani chłopca, którego Żarski wychowywał...

— Nie, nie! już wiem, gdzie przebywa jedna z sierot, ta, której na imię Zosia...

— Wiesz?

— Wiem... i wiem także, że jest szczęśliwą... co mnie raduje i pociesza. Widzę w tem właśnie łaskę Opatrzności, którą ty zdajesz się lekceważyć, chociaż masz najlepsze i najszlachetniejsze serce!

— Nie przesadzaj, Geniu.

— Czy sądzisz, że prosty przypadek rzucił Zosię Żarską w objęcia księżnej Sieńskiej? Nie! to nie przypadek, to łaska Opatrzności, czuwającej nad biednem dzieckiem. Nie masz pojęcia, jak bardzo cieszę się, myśląc, że dziewczynka opływa w dostatkach, że pod czułą opieką zacnej matrony wzrasta, rozwija się i staje się coraz piękniejszą...

— Lecz tamte... ślepa i Sabina... co się z niemi dzieje?

Mgła smutku, czarnym swym cieniem, zasępiła błyszczące źrenice Eugenii.

— Mam przeczucie, że je odnajdę... odszukam— rzekła po cichu i zwrócę matkę synowi, córkę ojcu....

To mówiąc, powstała z krzesełka, zsunęła woalkę na twarz i uścisnąwszy przyjaciółkę, zbliżała się ku drzwiom.

— Już odchodzisz?

— Słyszałam, jak biła dziesiąta.

— Kiedyż znowu cię zobaczę?

— Tu?.. nigdy!

— Och, Geniu!

— Wiesz, gdzie mieszkam. Ile razy będziesz smutna, przyjdź do mnie. Oczekiwać będę na ciebie z otwartemi rękami.

Wyszła.

Ktoś, w ciemnym korytarzu, na nieoświetlonem, trzeciem piętrze, otarł się o nią, gdy go mijała, a nawet patrzył czas jakiś na zstępującą po schodach.

Był to Adolf Bogajewski.

Wyjął klucz z kieszeni i otworzył drzwi, zamknięte przez Franciszkę, która, chociaż mocno wzruszona, siadła przy stole do roboty.

— Ktoś stąd wyszedł—rzekł, rzucając okrycie i kapelusz na krzesło.

— Jedna z moich przyjaciółek.

— Jak się zowie?

— Cóż to ciebie obchodzić może?... Nie znasz jej.

— Przepraszam, znam. To panna Molska.

Franciszka drgnęła.

— Kto ci powiedział jej nazwisko?

— Domyśliłem się. Przecież już dawniej mówiłaś mi nieraz, że nie miałaś lepszej od niej przyjaciółki. Ileż to razy opowiadałaś o szczerej życzliwości, jaka was łączy.

— Masz widzę, dobrą pamięć.

— No! jakież dziś wiadomości przyniosła ci sędzianka?

— Nic takiego, coby ciebie interesować mogło. Rozmawiałyśmy o rzeczach zwykłych, pospolitych — odparła Franciszka, zaniepokojona nieco indagacyą.

— Pleć zdrowa! o rzeczach pospolitych, — zawołał Bogajewski, wybuchając głośnym śmiechem.— Na szczęście mówiłyście dość głośno, więc wszystko słyszałem. Byłem tam, pod drzwiami... i nie uroniłem ani słówka z całej waszej konwersacyi. Rzeczy pospolite!.. miłostki panieńskie... Och, la, la!

Franciszka pobladła.

— Gdyby Jerzy Wielogrodzki stał przy mnie i słuchał, dowiedziałby się ładnych rzeczy o pięknej pannie Zofii, polującej na jego majątek, na należną mu sukcesyę!... Więc ta dziewczyna jest jedną z dwóch córek Marcina Żarskiego, owego mordercy, który udusił hrabiego Jelskiego?

— Wstydziłbyś się przyznawać do podsłuchiwania pod drzwiami!

— Czy mam istotnie się wstydzić?.. Czy to cię gniewa? — spytał Bogajewski, pochylając się nad żoną dla złożenia na jej czole pocałunku.

Franciszka, jakkolwiek drżąca i zmieszana, nie odepchnęła męża. Człowiek ten oddawna ją oczarował, a jakkolwiek nienawidziła go niekiedy, częściej wyznawała dlań ubóstwienie pokorne. W sercu nieszczęśliwej, dawna miłość dotąd nie wygasła. Bogajewski, rozumiejący to doskonale, wyzyskiwał swoją nad nią przewagę.

— Tak, podsłuchuję pod drzwiami — rzekł po chwili.—Powiem ci nawet, że cieszę się niewymownie, iż wysłuchałem twojej interesującej rozmowy z panną Molską, dostarczyła mi bowiem ona

bardzo cennej informacyi. Domyślasz się chyba, że o ile tobie chodzi o przyjaźń sędzianki, o tyle mnie idzie o przyjaźń Jerzego Wielogrodzkiego, który z czasem będzie milionowym panem.

Franciszka nie żądała wyjaśnień; milcząca, pochyliła znużone oczy nad robotą, pracując dalej ze zwykłą pilnością. Bogajewski zaś, zbliżył się do skromnego biórka orzechowego, w którem żona jego chowała zwykle zarobione pieniądze. Otworzył jedną z szufladek, wyjął z niej dziesięć rubli w złocie, oraz nieco drobnych — i razem wszystko wsunął do kieszonki od kamizelki. Zabrane przez niego pieniądze, były całym majątkiem biednej Frani, zaoszczędzonym w ciągu miesiąca.

Przeszedł się po pokoju raz i drugi, poczem siadł przy stole i napisał list następujący:

„Kochany Hrabio!

„Już jestem w posiadaniu informacyj, o które mnie prosiłeś. Panna Zofia, wychowanica księżnej Sieńskiej, jest w rzeczy samej córką Marcina Żarskiego, skazanego przed ośmiu laty na Sybir, za uduszenie hrabiego Jelskiego. Jeśli ci chodzić będzie o dokładniejsze wiadomości i wskazówki, postaram się je dostarczyć po twoim powrocie z Zahajec“.

„Serdeczne uściśnienie ręki.

„Adolf Bogajewski“.

Włożył bilecik w kopertę, zakleił — i nakreślił na niej adres.

— Schodzę — rzekł — żeby list wrzucić do skrzynki. Powrócę za godzinę.

— Czekając na ciebie, pracować będę dalej — odpowiedziała Franciszka po cichu. — Muszę rano oddać robotę, bo inaczej nie mielibyśmy co jeść jutro. Zabrałeś wszystko, co posiadałam... w domu niema już ani grosza.

Wyjął z kieszonki nieco drobnych i nic nie mówiąc, rzucił je na stół. Poczem wyszedł.

IV.

W znanej nam starej kamienicy przy ulicy Długiej, na zegarze przedpokojowym biła jedenasta, gdy panna Molska powróciła do domu. W sypialni czekała na nią pokojówka.

— Zawiadamiam panią o niespodziewanej wizycie — rzekła, zdejmując z ramion Eugenii letnią okrywkę... — Zdziwi się pani, gdy powiem, kto przyszedł.

— Mów więc, nie zwlekaj!

— Pan Kazimierz. Już przeszło godzinę czeka w pracowni pana sędziego.

— Czy ojciec wrócił?

— Nie, proszę pani. Pan sędzia wyszedł koło dziewiątej, w jakimś bardzo ważnym interesie, a wychodząc prosił, żeby pani powiedzieć, iż powróci późno.

— Dobrze... dziękuję ci... Moja Róziu, chcę samą pozostać — odpowiedziała Eugenia drżącym głosem. – Ale, proszę cię, zejdź uprzedzić mego brata, że za chwilę z nim się zobaczę... za chwilę...

I to mówiąc, trzęsąca się i wzruszona do głębi, usunęła się bezwładnie na sofę. Ośm lat nie widziała Kazimierza, do którego tak bardzo i szczerze była przywiązana. Na wiadomość, że przyjechał, że chce się z nią widzieć, że znajduje się tu, pod rodzicielskim dachem, o mało nie zemdlała — lecz przyzwyczajona od dłuższego już czasu do panowania nad sobą, powstała i przywdziawszy szybko czarny, wełniany szlafroczek, pozornie zupełnie spokojna, zeszła do pracowni ojca.

Uchyliwszy kotarę, zwieszającą się nad drzwiami, ujrzała go w półcieniu, zalewającym obszerną komnatę, opartego o okno, wychodzące na ogród. Stał tam od dość dawna, wpatrzony bezmyślnie w czarną masę drzew, pod rozłożystemi gałęziami których bawił się, jako mały chłopczyk w dzieciństwie. Dreszcz nerwowy przebiegł po ciele Eugenii na widok jego sylwety, rysującej się niewyraźnie w mdłem świetle, jakie jedna tylko paląca się w pokoju lampa, skąpo rzucała na tło oddalonego od drzwi olbrzymiego okna, objętego ścianami głębokiej framugi.

Panna Molska wsunęła się do pracowni po cichu. Lecz Kazimierz posłyszał słaby odgłos jej kroków, tłumionych grubym kobiercem rozesłanym na posadzce – i odwrócił się nagle. Był strasznie blady.

On i ona krzyknęli naraz.

— Kazio!

— Genia!

Rzucili się sobie w objęcia. Siostra, przyciśnięta silnie do piersi brata, załkała głośno.

— Och, Kaziu!... bracie mój ukochany!

On, wzruszony i zmieszany, nie mógł przemówić! Widok siostry, niegdyś bardzo kochanej, a której sprawił tyle srogich cierpień, ścisnął mu serce i dławił oddech w gardle. Łzy spływały mu po twarzy. Ona je dostrzegła i woła:

— Płaczesz! Czemu?... czemu?

— Płaczę z radości. Twoja dobroć... twoje złote serce mnie wzrusza. Więc przebaczyłaś mi ożenienie się z hrabiną Jelską?... Zawarłem małżeństwo bez zezwolenia ojca, przesyłając mu drogą sądową zawiadomienie o moim ślubie... Możeś mnie wobec niego broniła, możeś mnie usprawiedliwiała...

— O, sprawiłeś nam tem boleść wielką!

I po chwili dodała, głosem pełnym smutku:

— Sądziliśmy, że cię już nie zobaczymy więcej! Uciekłeś daleko... nie wiemy dokąd... wraz z żoną, która nam ciebie wydarła!... Dla niej, dla złej i przewrotnej kobiety, porzuciłeś ojca i siostrę, kochających cię całą duszą... a pragnących tylko twojego szczęścia.. tylko szczęścia twojego!.. Obojętnym byłeś wobec naszej rozpaczy. Nie wzruszyło cię straszne zmartwienie ojca, gdy się dowiedział, że chcesz poślubić swoją kochankę. Nie zastanowiłeś się, że świat warszawski, na wieść o waszym związku, ciebie i ją posądzać będzie o zamordowanie starego męża. Czy zapomniałeś, że już przed ośmiu laty padał na was cień podejrzenia, że szeptano o tem dość głośno w salonach i na ulicy, że echa was obwiniające, dolatywały nawet do uszu ojca... Co do mnie, nigdy nie uwierzę, abyś był zdolnym popełnić tak wstrętną i ohydną zbrodnię, lecz ona... ona!...



Och, Kaziu!.. bracie mój kochany!..

Kazimierz odsunął się od siostry.

— Każda wątpliwość w tym względzie jest dla mnie obrazą! Proszę cię, nie mówmy o przeszłości. Przyznaję, że byłem kochankiem Marceli... tak, byłem nim... lecz któż śmiałby mnie potępić za to, że gdy owdowiała i czas żałoby minął, stanąłem z nią przed ołtarzem? Czyż dając jej moje nazwisko, nie postąpiłem, jak człowiek uczciwy?!

Nagle urwał, jakby oczekiwał na odpowiedź siostry, lecz ona czas jakiś milczała.

— Nie przedstawiaj nam swojej żony za nic w świecie! – rzekła po namyśle. — Czy rozumiesz?... nie przyprowadzaj jej do naszego domu. Ojciec nie przebaczy jej nigdy, że nam ciebie zabrała, że złamała twoją przyszłość, że znieprawiła twoje sumienie... Gdyby się tu ukazała, gotów ją wypędzić w taki sposób, w jaki wypędza się najnikczemniejszą z istot, godną tylko pogardy!

To mówiąc, podniosła załzawione oczy na Kazimierza. Na twarzy jego, jeszcze młodej i pięknej, malowało się już przedwczesne zniszczenie, wywołane upadkiem ducha i okropnym smutkiem. Duże, czarne oczy błyszczały wprawdzie, lecz jakimś niezdrowym, febrycznym blaskiem.

— Och, jakżeś się zmienił! — szepnęła Eugenia. – Łatwo odgadnąć, że upłynione lata przygniotły cię straszliwym ciężarem, wypisując na twojem czole zawód i rozczarowanie. I my martwiliśmy się także nieustannie, zadając sobie w głębi dusz naszych pytanie: co się z tobą dzieje?.. Ojciec, nigdy o tobie nie wspominał, imienia twego nawet nie wymawiał, lecz ile razy ujrzałam go głęboko zamyślonym i bardzo znękanym, wiedziałam dobrze, że o tobie myśli.

Po chwili szepnęła:

– Co się z tobą działo? gdzieś się obracał?

— Najdłużej bawiliśmy w Stanach-Zjednoczonych północnej Ameryki.

— Czy czułeś się spokojnym... i szczęśliwym?

Po tem zapytaniu zapanowało długie milczenie. Kazimierz usiadł, a raczej upadł na krzesło, stojące przy oknie. Oparł głowę o poręcz i pogrążył się w chmurnem zadumaniu. Pochylona nad nim Eugenia, słodkim głosem, trafiającym do serca, pytała dalej po cichu:

— Czy przynajmniej byłeś szczęśliwy? Wobec mnie odsłonić możesz śmiało rany swojej duszy, bo nie masz na świecie całym lepszej odemnie przyjaciółki. Zwierz się przedemną ze swoich smutków, a ja cię może pocieszę. Od dnia, w którym nas opuściłeś, noszę żałobę... bo z istot mi bliskich, jesteś przecie dla mnie jedną z najdroższych... bo kocham cię całem sercem. Ojciec i ja opłakiwaliśmy cię, jak zmarłego. Ile razy odwiedzaliśmy grób matki na Powązkach, tyle razy składałam na nim kwiaty... dla niej i dla ciebie. A ojciec szeptał rozrzewniony: „Gdyby Kazio żył jeszcze, pisywałby do nas. Musiał umrzeć... musiał umrzeć“! Mówiąc to, zalewał się łzami.

– Biedny ojciec!

– Powiedz mi więc, czy jesteś szczęśliwy?... Spojrzyj na mnie takim samym wzrokiem, jakim patrzyłeś, gdyśmy byli dziećmi. Wówczas myśli twoje były mojemi... a gdy, przypadkiem skłamałeś, czytałam to zaraz w twoich oczach, bo odwracały się odemnie, jak odwracają się teraz.

— Ach, droga moja Geniu!

— Ten jęk boleści, który wyrwał się z twojej piersi, jest wyznaniem. Żałujesz zmarnowanego życia. Istnienie, bez ciepła rodzinnego, ciężyć ci musi okropnie. Może już nie kochasz tej kobiety, która cię uwiodła, a znikająca miłość uniosła z sobą wszystkie złudzenia, pozostawiając w piersi tylko żal i rozpacz. O, mój biedny Kaziu, jakże cierpieć musisz!

Serce Eugenii biło zdwojonem tętnem.

Kazimierz milczał ciągle, lecz to milczenie i smutek, zapełniający duszę, a odzwierciadlający się na licach, świadczył wymownie, że siostra jego ma słuszność.

— Ojciec wkrótce powróci – rzekła po chwili. — Czy zaczekasz na niego?

— Czy mnie aby nie wypędzi?

— On?!.. O! Kaziu, jak możesz wątpić o jego przywiązaniu!

(Ciąg dalszy nastąpi).



C. k. Skarb Państwa przed sądem: Poszkodowany p. Jakliński demonstruje wobec władz sądowych i przedstawiciela Skarbu państwa — wypadek, jakiemu uległ przy wsiadaniu do wagonu. (Treść na str. 13).

Nowy prezydent miasta Czerniowiec.

Wielce skomplikowana machina autonomii gminnej czyni pozycyę burmistrza bardzo wielostronną: ma on być godnym reprezentantem obywateli i zarazem nadawać ton tokowi spraw miejskich.

W mniejszej gminie wszystko to jest rzeczą mniej trudną, ale w mieście takiem, jak Czerniowce, zadanie nie jest łatwem i potrzeba wyjątkowego człowieka, któryby łączył w jednej osobie powagę, młodzieńczą sprężystość, ruchliwą pomysłowość, pamięć drobiazgowego wykonawcy i zarazem zręczne omijanie wszelkich drażliwych kolizyj z różnorodnemi stronnictwami.

Stanowisko zwierzchnika miasta jest u nas prawdziwie pozycyą nie do zazdrości, choćby tylko z tej przyczyny, ze od jednego człowieka za wiele pracy się wymaga.

Nigdy jeszcze wybór nowego prezydenta nie budził tyle zainteresowania wśród ogółu mieszkańców, ile wybór ostatni.

Z powodu porozumienia, jakie nastąpiło między stronnictwami, został pierwszy zastępca burmistrza miasta, radca rządowy Dr. Edward Reiss wybrany jednogłośnie prezydentem miasta Czerniowiec, co zarówno radni, jak i bardzo licznie w sali i przed gmachem zebrana publiczność, przyjęła oklaskami i okrzykami.

Nowy prezydent miasta jest to mąż, który nietylko w ściślejszym gronie stronnictwa, do którego należy, cieszy się szczerą sympatyą, lecz swą bezstronnością umiał sobie pozyskać względy i poważanie i innych narodowości.

W odniesieniu się do nas nie kierował się nigdy stronniczością partyjną, ale owszem nieraz dawał nam dowody nie tylko objektywnego, lecz wprost życzliwego stanowiska w Radzie miejskiej.

Radca rządowy dr. Edward Reiss urodził się w r. 1850 w Załoźcach w Galicyi i przybył w 6 roku życia do Czerniowiec, gdzie ojciec jego był lekarzem.

Po ukończeniu studyów uniwersyteckich, w roku 1872 wstąpił do służby sędziowskiej w Czerniowcach. W r. 1884 został po raz pierwszy wybrany radnym z 2 koła wyborczego i od tego czasu nieprzerwanie należy do reprezentacyi autonomicznej Czerniowiec.

Godność wiceburmistrza piastuje od r. 1894, a za zasługi położone w rozlicznych dziedzinach swej działalności obywatelskiej, otrzymał w r. 1900 tytuł radcy rządowego.



Nowy prezydent miasta Czerniowiec: Dr. Edward Reiss następca barona Kochanowskiego.



Nowe gniazdo Sokole w Samborze: Widok zewnętrzny gmachu „Sokoła“.

Nowe gniazdo sokole w Samborze.

Idea sokolstwa tak się już spopularyzowała i tak zrosła z polskiem społeczeństwem, że niema dziś miasta ni miasteczka — któreby w murach swych nie mieściło tego sympatycznego towarzystwa. Tam, gdzie „Sokoły“ gniazdo założą — odrazu nadają inny typ i charakter miastu. Sokół, prócz pielęgnowania fizycznego rozwoju swych członków, jest także ogniskiem życia towarzyskiego.

Tu odbywają się odczyty, wieczornice i przedstawienia amatorskie, tu aranżują koncerty, bale i wycieczki. Jednem słowem można stwierdzić, że „Sokół oddaje prowincyi znakomite usługi.

Sambor — niewielkie miasteczko we wschodniej Galicyi — zdobył też się na piękny, okazały gmach Sokoła.

Budynek, stylowo wykonany, powiększył obecnie liczbę pięknych domów, którymi Sambor korzystnie z pośród innych miast się wyróżnia.

Gmach ten odpowiada zupełnie swojemu celowi. Prócz olbrzymiej, wspaniałej sali, zaopatrzonej we wszystkie możliwe przyrządy gimnastyczne — posiada „Sokół“ własną bibliotekę i stałą scenę z bardzo ładnemi dekoracyami i utensyliami teatralnemi. Niezadługo zaprowadzonem też będzie w „Sokole“ elektryczne oświetlenie.

W zeszłym tygodniu odbył się uroczysty akt poświęcenia wykończonego gmachu. Dzień ten na długo pozostanie w pamięci mieszkańców, otaczających żywą sympatyą i uznaniem dzielnych swoich „Sokołów“.

Choroba prezydenta ministrów.

Przed kilku dniami doniosły telegramy o chorobie barona Gautscha, obecnego prezydenta ministrów w Austryi. Wieści te, przyjęto z początku dość obojętnie, gdyż zapewniano, że bar. Gautsch popadł w lekką chorobę róży. Tymczasem choroba wzmagała się z dnia na dzień, róża objęła większą część twarzy, gardło i oczy; usiłowania lekarzy nie zdołały powstrzymać szerzenia się choroby, tak, że dzisiaj grozi choremu poważne niebezpieczeństwo.



Choroba prezydenta ministrów: Br. Gautsch, prezydent ministrów.

Róża jest to powierzchowne zapalenie skóry, przy którem występuje obrzęk i bolesność, przyczem zwykle objawia się silna gorączka. Zajmować może wszystkie okolice skóry, najczęściej jednak twarz i głowę. Czasem jednak rozszerza się na bardzo znaczną przestrzeń, nawet na całą skórę i jest wtedy bardzo niebezpieczną.

Baron Gautsch, który pozostaje pod baczną opieką lekarzy, przebywa chorobę dość lekko. Jest też nadzieja, że uda się przywrócić go do zdrowia bez ponoszenia widocznych, a nieprzyjemnych skutków. Choroba to bowiem groźna, mogąca spowodować utratę wzroku i słuchu, co nie pozostałoby bez wpływu na dalszą karyerę bar. Gautscha.

Nowy dyrektor biblioteki Jagiellońskiej.

W miejsce dra Karola Estreichera, byłego bibliotekarza biblioteki Jagiellońskiej, został mianowany dyrektorem księgozbioru jagiellońskiego dr. Józef Korzeniowski, syn Władysława, najmłodszego z synów głośnego powieściopisarza Józefa. Urodził on się w Puławach w r. 1863. Studya gimnazyalne odbył w Dreźnie, wychowany przez ciotkę swą Maryę Falkenhagen-Zaleską. Dodatni wpływ na młodego chłopca miał jego wuj, znany ekonomista, a mąż Maryi-Zaleski. Na studya uniwersyteckie wyjechał do Krakowa i tu ukończył wydział filozoficzny, studyując specyalnie historyę. Tu zdobył sobie też tytuł doktorski za pracę o Piotrze Kmicie, drukowaną w pamiętnikach Akademii Umiejętności.

Pracy bibliograficznej poświęcał się dr. Józef Korzeniowski od wczesnej młodości i nabył w tym kierunku sporo doświadczenia przez praktykę długoletnią. Przed dwudziestu laty pracował około sporządzenia katalogów rękopisów w bibliotece książąt Czartoryskich.

Po otrzymaniu doktoratu udał się do Rzymu w r. 1885 jako naczelnik I ekspedycyi Akademii Umiejętności, zorganizowanej przez prof. Smolkę w celu zbadania archiwów watykańskich. Dr Korzeniowski pracował w późniejszych latach w archiwach i bibliotekach w Wiedniu, Paryżu, Londynie, Petersburgu, Moskwie, Sztokholnie, Konstantynopolu, Simancas (w Hiszpanii) i opracował kilkaset cennych dokumentów, wydał wiele sumiennych rozpraw historycznych. Do jednych z najwybitniejszych jego zasług należy wydanie listów i pism Stanisława Orzechowskiego p. t. „Orichoviana“, a nadto wyszukanie w bibliotece w Konstantynopolu cennego dla historyi serbskiej dokumentu p. t. „Chryzewul“.

Biblioteka znajdzie siłę fachową w swym nowym dyrektorze, któryby był na tyle energicznym, by umiał zaprowadzić ład i porządek w tej bibliotece, która z polskich jest największą i najbogatszą i by umiał przeprowadzić w jak najkrótszym czasie potrzebne reformy i urządzenia na wzór publicznych bibliotek na Zachodzie. Biblioteka krakowska, choć nosi tytuł „cesarsko-królewskiej“ — nie jest należycie uposażoną pod względem finansowym i nie posiada nawet odpowiednich dla swych rozmiarów katalogów, a nawet nie jest wcale zabezpieczoną przed pożarem! Pozbawioną jest wielu ważnych czasopism polskich, czemu zadość uczynić możnaby jedynie przez wyznaczenie na ich prenumeratę odpowiedniego funduszu.



Nowy dyrektor biblioteki Jagiellońskiej: Dr. Józef Korzeniowski, nowo mianowany dyrektor biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie.

Niewątpimy, że nowy jej kierownik dołoży wszelkich starań, by usunąć braki i będzie energicznie upominał się, by instytucyi jemu powierzonej rząd nie traktował po macoszemu.

Rozruchy chłopskie w Rosyi.

Rosya przedstawia się dzisiaj jak wulkan, który wre i kipi wewnątrz, od czasu do czasu miejscami wybucha podziemnymi grzmotami, dając ciągle znać, że w niedalekiej przyszłości wybuchnie z piorunową siłą, która snadnie zgruchotać może podstawę tronu cara samodzierżcy. Okrutna wojna na Wschodzie, pożerająca tysiące ofiar w ludziach i w prowiantach, wojna, która spowodowała nędzę w całej Rosyi, obudziła też u szerokich mas żądzę odwetu za wszystkie krzywdy i uciski czynowniczego rządu. Imponujący ruch robotniczy w Królestwie i większych miastach Rosyi, ruch, na którego stłumienie rząd miał tylko karabiny i szable, zachwiał już poważnie dotychczasowym autorytetem władz, a krew robotnicza, przelana na ulicach Petersburga, Warszawy, Łodzi i Radomia, była rosą ożywczą na śpiące masy, była nasieniem, z którego wyrosły miliony żądnych zemsty i domagających się praw człowieka bojowników. Ruch rewolucyjny przeniósł się z miast na wsie, ogarnął szerokie warstwy chłopów, obudził w nich ducha zemsty. I dzisiaj cała, zwłaszcza południowa Rosya, wre. Zbuntowane masy chłopskie, uzbrojone w drągi i koły, przechodzą od wsi do wsi, niszcząc mienie „panów“ i wielkich książąt, obracając w perzynę wielkie zakłady przemysłowe, należące do rządu i cara, który przestał już być dla tych tłumów „batiuszką“, a stał się jedynie tyranem, wyciągającym od nich podatek pracy i podatek krwi, nie przebierającym w środkach, ale gnębiącym lud na każdym kroku.

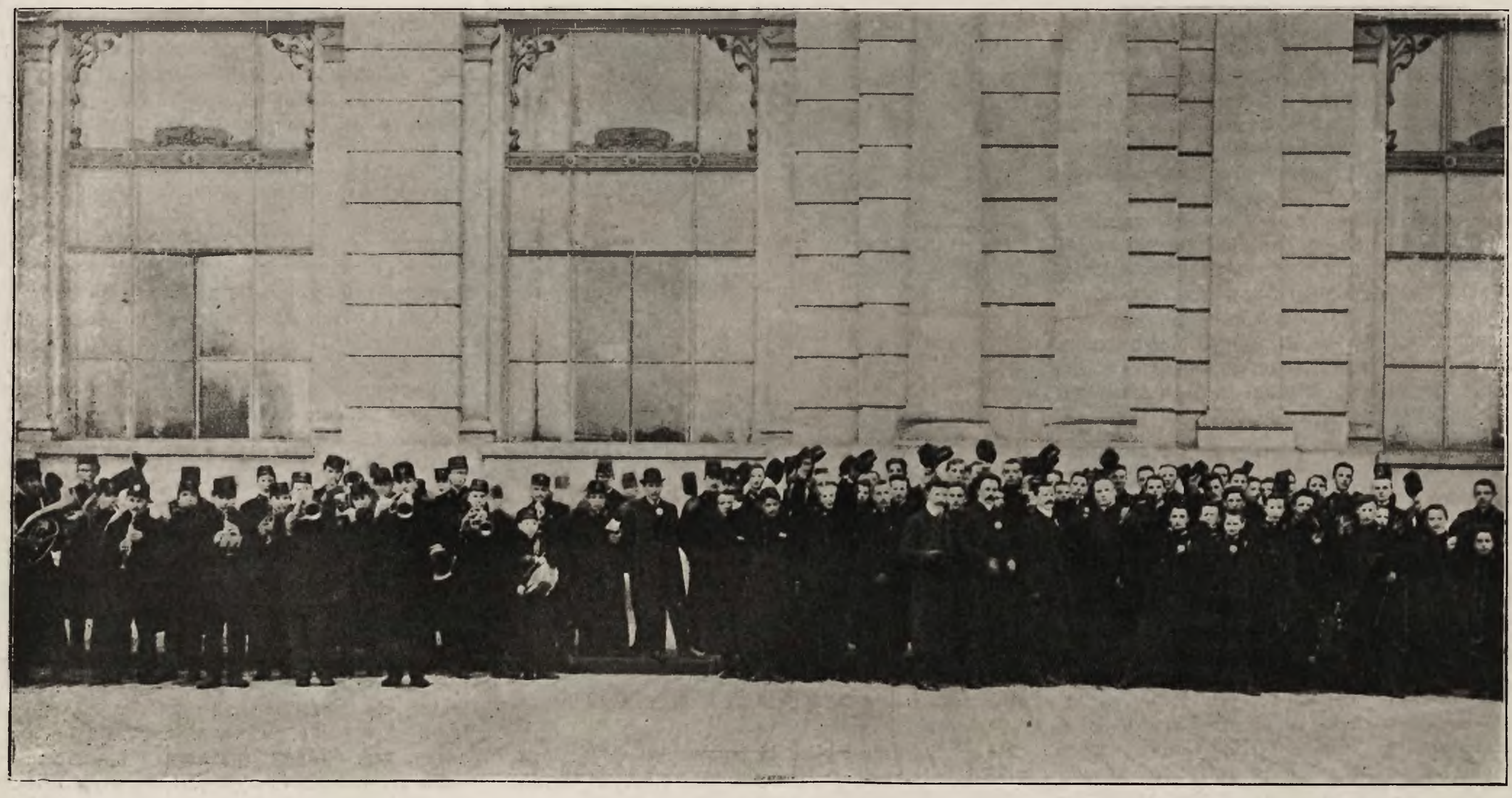
Na ilustracyi naszej widzimy okropną scenę napadu chłopów na dom rządcy dóbr wielkoksiążęcych w jednej z miejscowości w gubernii orelskiej. Wynędzniałe, obdarte tłumy, podjudzane przez nieznanych agitatorów, bardzo często nawet przez niezdający sobie sprawy z położenia rząd, idą mścić się. W oczach ich płoną dzikie błyski, widać, że tłumy te zdecydowane są na śmierć; teraz chcą tylko pomsty. Nie darują oni dzieciom, ani matce, która z rozpaczą i błagalnem wejrzeniem w oczach, niemym głosem woła o litość. Nie! Słudzy carscy muszą odpokutować za winy cara! Muszą paść, a domostwo ich i dobra wielkoksiążęce pójdą z dymem. Bo zemsta ludu, dręczonego od wieków, musi być okrutną. Za chwilę na miejscu domostwa będą tylko gruzy i popioły dymiące, tłumy pójdą dalej niszczyć i rabować i w ten sposób mścić się za krzywdy odwieczne.

Zjazd króla angielskiego z prezydentem rzeczypospolitej francuskiej.

Sytuacya polityczna w Europie, uległa obecnie wyraźnej zmianie i zaostrzyła się na niekorzyść Niemców. Prowokacyjna polityka niemieckiego rządu, jego wybitnie wojownicze usposobienie, objawiające się dość wyraźnie w gwałtownem zbrojeniu się Niemiec, spowodowało zbliżenie się Francyi i Anglii do siebie i zawarcie między temi mocarstwami ściślejszego sojuszu.



Rozruchy chłopskie w Rosyi: Zbuntowani chłopi napadają na dom rządcy dóbr wielkoksiążęcych w jednej z miejscowości gubernii orelskiej.



Fot. E. Brodkowski. Lwów.

Wycieczka młodzieży gimnazyalnej do Rzymu: Młodzież gimnazyalna z ks. dr. Gertsmanem i profesorami na czele, odprowadzona przez orkiestrę gimnazyalną — oczekuje na dworcu lwowskim odejścia pociągu.

Zewnętrznym objawem przyjaźni między Anglią a Francyą, był obecny zjazd króla Edwarda z prezydentem rzeczypospolitej Loubetem. Król Edward, jadąc na południe w celu odbycia podróży po morzu śródziemnem, wraz ze swą małżonką królową Aleksandrą, postanowił zjechać się z Loubetem w Paryżu i w ten sposób zadokumentować swą przyjaźń dla narodu francuskiego. Króla *w Pierrefitte* spotkali Loubet i minister spraw zewnętrznych Delcassé. Obaj weszli do wagonu królewskiego i przez dwie godziny trwała rozmowa, o której treści nie zostały zawiadomione żadne pisma i której tajemnica dotychczas nie została opublikowaną. Z Paryża udał się król Edward do Marsylii, gdzie na niego oczekiwała już królowa angielska. Świadkowie spotkania króla Edwarda z Loubetem, podają tylko tyle, że miało ono charakter nadzwyczajnej serdeczności i wzajemnego zaufania. Bawiąc w Marsylii i zwiedzając miasto, odezwał się Edward do prefekta, że jest ogromnie zadowolony, iż mógł się widzieć z przyjacielem swoim Loubetem. Z tego wszystkiego sądzą politycy, że naprawdę spotkanie musiało mieć charakter ogromnie serdeczny i że sojusz Francyi z Anglią jest obecnie tem silniejszy.

W kołach dyplomatycznych utrzymują, że w dniach ostatnich toczyła się bardzo żywa wymiana poufnych zapatrywań rządów Francyi i Austro-Węgier z powodu tajnego projektu, jaki miała podać dyplomacya angielska. Mianowicie chodzi o stworzenie koalicyi tych trzech państw, zwróconej przeciwko Niemcom. W ten sposób Niemcy, zostałyby odosobnione, a koalicya taka byłaby potężnym przeciwnikiem i równoważnikiem sił zbrojnych Niemiec, które obecnie wskutek gwałtownego zbrojenia się, stanowią jedyną groźbę dla pokoju europejskiego.

To też zjazd króla Edwarda z Loubetem był odpowiedzią na prowokacyjne zachowanie się wobec Francyi Wilhelma, który tendencyą swej podróży do Marokka, zmierzał do zadokumentowania, że Niemcy nie pozwolą bez siebie rozstrzygnąć o Marokku żadnemu z państw europejskich.



Zjazd króla angielskiego z prezydentem rzeczypospolitej francuskiej: Loubet wita się z królem Edwardem na stopniach wagonu królewskiego.

Wycieczka młodzieży gimnazyalnej do Rzymu.

Stolica apostolska, otaczająca zawsze Polaków największą miłością, cieszy się w całej Polsce szczególniejszą czcią. Rok rocznie wyjeżdżają do Rzymu tysiące wiernych i to nietylko z Galicyi, ale ze wszystkich zaborów, aby u grobu wielkiego apostoła pokrzepić duszę na dalszą walkę i trudy, i aby złożyć hołd głowie katolickiego kościoła i uzyskać odeń błogosławieństwo. Pielgrzymki te są



Minister Wittek w niełasce Dr. H. Wittek, austryacki minister kolei.

wyrazem, jak głęboko katolickim jest lud polski i jak duchowieństwo polskie, aczkolwiek w trudnych, jak np. pod zaborem rosyjskim warunkach, potrafi przez wiarę utrzymać jedność całego narodu.

Niedawno, najprzewielebniejszy arcybiskup lwowski, ks. dr. Bilczewski, rzucił myśl, aby do stóp tronu papieskiego przyprowadzić kwiat narodu, młodzież polską, tę podwalinę naszej przyszłej egzystencyi. Myśl nie pozostała bez echa. We wszystkich prawie większych miastach, we wszystkich prawie gimnazyach i szkołach realnych, potworzyły się komitety, mające na celu zorganizowanie pielgrzymki młodzieży do Rzymu. W sobotę ubiegłą wyjechały grupy młodzieży-pątników do Budapesztu, gdzie połączą się i razem pod przewodnictwem księży katechetów i najprzewielebniejszego arcypasterza Bilczewskiego, udadzą się do Rzymu. Po drodze zwiedzać będą pątnicy poszcze-

gólne miejscowości, słynne z cudów, albo zabytków przeszłości.

Zaiste, pielgrzymka to niezwykła i przyjętą będzie przez Ojca św. ze szczególniejszą miłością. Bo staną przed nim ludzie młodzi, ludzie, którzy dopiero przygotowują się do życia a ożywieni duchem katolickim, ludzie, którzy pojadą do Rzymu, jak do lecznicy, dającej moc i siłę, jakiej nam zwłaszcza potrzeba.

Na illustracyach naszych widzimy wyjazd pielgrzymki studentów ze Lwowa. Na dworcu zebrała się młodzież pątnicza, odprowadzona przez kolegów z orkiestrą na czele. Z młodocianymi pątnikami wyjeżdża katecheta ks. Dr. Gerstmau, oraz grono profesorów. Powiodą oni przed tron papieski swoich wychowanków. A wychowankowie ci, drżą z niecierpliwości, kiedy zajedzie pociąg, który ich ma wieść ku świętemu miastu. W oczach ich płoną błyski radości i bezmiernej pogody, jaką daje prawdziwa wiara. Każdy chciałby już siedzieć w wagonie, już jechać, bo oto wybierają się w drogę do wiecznego miasta, do miasta, w którem ponad Kapitolem, króluje krzyż kopuły św. Piotra. I oto pociąg nadszedł. Ruch, gwar, tłok, wszyscy cisną się. Nareszczcie wsiedli. Konduktorzy zamykają drzwi, lokomotywa dymi, świst jeden po drugim i pociąg ruszył; za chwilę zniknie



Fot. E. Brodkowski. Lwów.

Wycieczka młodzieży gimnazyalnej do Rzymu: Odjazd pociągu z dworca lwowskiego.



Cywilny ślub polskiego literata: Stanisław Przybyszewski głośny polski powieściopisarz. (Treść na str 3).

w dali, unosząc młodzież upojoną nadzieją zobaczenia Piotrowej stolicy.

Duchowieństwu, a zwłaszcza księdzu arcybiskupowi Bilczewskiemu, należy się prawdziwa wdzięczność za organizacyę pielgrzymki studenckiej. Będzie to w Rzymie dowodem, że Polska stoi wiernie przy kościele katolickim, że młodzież w innych krajach tak zdemoralizowana i bez wiary, u nas jest szczerze katolicką, a przez to i szczerze narodową.

Minister Wittek w niełasce.

Prezydent ministrów, baron Gautsch zachorował i cesarz musiał zamianować zastępcą, prowizorycznego prezesa gabinetu. Ostentacyjne pominięcie przez cesarza najstarszego z obecnych ministrów dr. Witteka, kierownika ministerstwa kolei i powierzenie godności tej niedawuo mianowanemu ministrowi spraw wewnętrznych hr. Bylandt-Rheidtowi, było oczywistem okazaniem niełaski dr. Wittekowi, który co do rangi był najstarszym ministrem, gdyż od 21 grudnia 1899 r. do 18 stycznia 1900 r. był już przewodniczącym rady ministrów. Ci, którzy bliżej żyli z ministrem Wittekiem, tłómaczyli, że w tem pominięciu niema nic ubliżającego, gdyż hr. Bylandt-Rheidt zna lepiej program i inteneye barona Gautscha, jako jego osobisty przyjaciel i dlatego będzie mógł lepiej spełnić zadanie, kierowania polityką rządu.

Lecz mało jest tak naiwnych, którzyby chcieli uwierzyć w takie tłómaczenie oczywistej niełaski Witteka. Przed paru tygodniami komisya kolejowa, która obradowała nad zarządem ministerstwa kolei, uchwaliła wyrazić ministrowi Wittekowi votum nieufności i ostro skarcić go za to, że przy budowie kolei alpejskiej przekroczył uchwalony przez parlament na ich wybudowanie budżet i w ten sposób dopuścił się naruszenia ustaw zasadniczych dających izbie prawo kontroli nad rządem. Nic więc dziwnego, że minister Wittek znajdujący się w stanie oskarżenia nie otrzymał godności prowizorycznego kierownika gabinetu, gdyż byłoby to wprost prowokowaniem izby.

Minister Wittek musi wobec takiego stanowiska względem niego Izby poselskiej i samego rządu ustąpić, gdyż w przeciwnym razie parlament, jako reprezentacya ludów, nie miałby żadnej satysfakcyi i żadnej gwarancyi, że rząd będzie przestrzegał zasadniczych ustaw państwa. Podobno sam baron Gautsch nie chciał, aby go zastępował minister nie mający zaufania w Izbie.

Z ustąpieniem dra Witteka pójdzie zdaje się dość trudno. Zasiedział on się na swem stanowisku i tak przyzwyczaił do prześladowania swoją osobą i urzędników swoich i publiczności, że nie łatwo pogodzi się z przykrym losem noszenia tytułu ministra bez władzy, chodzenia po „Ringstrasse, bez możności czynnego wtrącania się w politykę i wydawania rozkazów.

Dla niego ustąpienie równa się śmierci cywilnej. Będzie nadal nosił ordery, nosił tytuł ministra, a nie będzie mógł zajmować się tem, z czem się zżył, co weszło w jego istotę i co stało się jego drugiem życiem. Ludzie przestaną go znać, politycy przestaną się nim interesować i z kierownika jednego z wielkich biur państwowych, stanie się zwykłym, przeciętnym obywatelem państwa, bez jakiegokolwiek wpływu na bieg polityki państwowej, która go obaliła dlatego, że z nią się nie liczył.

Dr. Wittek boi się więc dymisyi i wszelkimi siłami stara się ją odwles jak najdłużej bo wie o tem dobrze, że znaczenie i władza jakie dzisiaj posiada, z chwilą przejścia jego w stan spoczynku znikają dla niego bezpowrotnie, a ci którzy mu się dzisiaj bardzo nisko kłaniają, jutro nie znaliby go wcale.



Zjazd króla angielskiego z prezydentem rzeczypospolitej francuskiej: Król angielski Edward żegna się z prezydentem republiki francuskiej Loubetem.



ŚLADAMI ZBRODNI

Senzacyjna powieść osnuta na tle pamiętników tajnego detektywa.

Z rosyjskiego przełożył

A. S.

7 Ciąg dalszy nastąpi.

Z kwadrans jeszcze czekała młoda dziewczyna, poczem otuliwszy się w chustkę, wzięła do rąk latarkę i cichutko wysunęła się ze swojej izdebki — a zamknąwszy ją na klucz, jak mara, bez żadnego szelestu, zeszła po schodach i stanęła pod drzwiami szynkowni. Przez szparę, koło progu, ujrzała wąską smugę światła. To zapewniło ją, że ojciec wraz z Iwanem znajdują się jeszcze w izbie. Ale, co oni mogli jeszcze robić o tej porze?

Wiera z całą przyjemnością byłaby już teraz wyprowadziła Włodzimierza, gdyby nie obawa, że siedzący w szynkowni usłyszą skrzypienie drzwi wchodowych.

Jedno pozostawało jej zatem: czekać. Lecz młoda dziewczyna chciała przedewszystkiem wiedzieć, co teraz dzieje się w izbie. Cichutko, jak kot, przysunęła się do drzwi i poczęła szukać tej szpary, przez którą obserwowała Lubasza i Iwana przed paru godzinami. Tym razem jednak zawiodły ją nadzieje. Czy to przypadkiem, czy też umyślnie, Iwan zawiesił swój kożuch na drzwiach i w ten sposób zakrył szczelinę. Wiera przyłożyła więc ucho do drzwi, aby bodaj z rozmowy dowiedzieć się, co może spotkać Włodzimierza.

Lecz mężczyźni rozmawiali szeptem. Raz tylko Iwan uderzył pięścią w stół — i krzyknął z gniewem:

— To jest konieczne! Inaczej nie może być, stary, bo tu chodzi o nasze życie!..

Wiera zrozumiała, co Iwan uważał za „konieczne!"

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie byłoby dobrze już teraz wyprowadzić detektywa. Lubasz i Iwan byli zajęci rozmową i może wśród wycia wichury nie dostrzegliby otwierania drzwi wchodowych.

Lecz w tej chwili doleciał ją stuk usuwanego stołka. Wiera miała tylko tyle czasu, że przekonawszy się, czy nie braknie jej zapałek, zdołała uskoczyć na bok i skryć się pod schodami, prowadzącemi na piętro, bo drzwi do szynkowni otworzyły się z hałasem, smuga światła wpadła do sieni i znikła w tej chwili, w której drzwi się zatrzasnęły.

Dziewczyna nadstawiła uszu i wcisnęła się w kąt. Ktoś wyszedł z izby i omackiem zdążał powoli wzdłuż sieni — tuż koło jej kryjówki.

— To Iwan! — pomyślała sobie — ale gdzie on idzie o tej porze?

I znów nastała grobowa cisza. Wtem Wiera drgnęła. Czy przesłyszało się jej, czy istotnie, Iwan pobijał się pięściami do drzwi podróżnego? Czego on mógł chcieć od niego o tej porze? Dziewczę przycisnęło dłoń do serca, jakgdyby chciała powstrzymać jego bicie i rozmyślała, co to wszystko ma oznaczać.

Że jej ojciec i Iwan byli zdolni zamordować kogoś podczas snu, o tem nie powątpiewała już wcale, ale po cóż ten hałas w takim razie? Przecież obaj chyba musieli być przekonani, że Włodzimierz jest dobrze uzbrojony!

A może istotnie Iwan miał dlań jakąś ważną wiadomość?..

Jeszcze Wiera łamała sobie głowę nad tą zagadką, gdy powietrze przedarł krzyk straszny — krzyk bezsilnej rozpaczy konającego, który mógł się wyrwać tylko z piersi Włodzimierza...

— Zamordowali go! zamordowali! — jęknęła dziewczyna — na moją pomoc zapóźno! zapóźno!..

W tej chwili jakiś cień przesunął się koło niej z dzikim uśmiechem. Drzwi od szynkowni, pchnięte silnie, otworzyły się na oścież i na progu w świetle błysnęła zwierzęca twarz Iwana.

— Dobra nasza Wasylu! — krzyknął tryumfująco — jest i zaopatrzony i pogrzebany!

Siły opuściły Wierę, w oczach jej się zaćmiło i usunęła się na ziemię bez skargi, bez jęku...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Włodzimierza spotkał ten sam los, co i Borysa Jaroszyna. Izba, do której zaprowadziła go Wiera, jedna jedyna gościnna izba w całej gospodzie, nie była niczem innem, jak prostą pułapką, wilczym dołem, ale — na ludzi.

Wiera nie miała nawet pojęcia o tem, do czego Iwan, wyrafinowany zbrodniarz, skłonił jej ojca, gdy bieda zaczęła mu dokuczać, wciskać się do gospody drzwiami i oknami.

On wpadł na ten pomysł i on sam go wykonał, a że wykonał koncertowo, dowód w tem, że taki detektyw, jak Włodzimierz, który spodziewał się jakiejś zasadzki i badał jak najsumienniej pokój, nie potrafił odkryć niczego.

Cała podłoga od łóżka aż do drzwi była zwykłym pomostem, opartym na jednej poprzecznej belce, ukrytej w piwnicy, a belka ta wyglądała tak niewinnie, że nawet zwiedzający piwnicę nie byłby zwrócił na nią żadnej uwagi. Ta ruchoma podłoga była znakomicie dopasowana i nie budziła w nikim podejrzenia. Proch i brud zbierał się tam w szparach i dopomagał tylko do lepszego złudzenia.

Iwan, zanim poszedł dobijać się do Włodzimierza cicho, bez szelestu wyjął belkę i był przekonany, że gdy tylko najmniejszy ciężar spocznie na podłodze, ona w jednej chwili zapadnie się na potężnych żelaznych zawiasach, umocowanych do tej części, w której stało łóżko.

Rzecz była ogromnie sprytnie obmyślana. Łóżko stało silnie, w pokoju zaponowała ciemność. Iwan wiedział, że w tę okolicę żaden podróżny nie zapuści się bez dobrej broni, a narażać się nie myślał. Chodziło mu tylko o to, żeby śpiącego wywabić z łóżka. Z chwilą, gdy podróżny biegł do drzwi, by je otworzyć — podpisywał wyrok na siebie...

Spadał bowiem wówczas całą siłą własnego ciężaru do piwnicy i jeśli nie roztrzaskał głowy o kamienie, to tracił przytomność na długo. A wówczas Iwan kpił sobie z jego rewolweru, wówczas Iwanowi wystarczała siekiera!..

I jak Borys Jaroszyn, tak samo Włodzimierz Bohdan nie zdołał uniknąć strasznej zasadzki

Spadając do piwnicy, uderzył głową o mur i leżał na podłodze bez czucia. Jak długo to trwało, nie wiedział, ale gdy wreszcie przytomność poczęła mu wracać, gdy otworzył oczy, ciemności otaczały go jeszcze dokoła.

Chłód przejmujący do szpiku kości, orzeźwił go nieco. Włodzimierz z trudem dźwignął się i uczuł naraz szalony ból głowy,

— Co to jest? gdzie ja się teraz znajduję? — zamruczał.

Przesunął ręką po czole, jakgdyby chciał zebrać myśli i syknął z bólu. Lewa skroń była całkiem wilgotna. Widocznie był ranny! Zdawało mu się nawet, że czuje, jak krew z rany spływa mu po policzku.

Przez chwilę stał bez ruchu, usiłując przywołać na pamięć ostatni e wypadki.

— Ach! — szepnął wreszcie — rozumiem! Chcieli mię zamordować! Nie jestem już w moim pokoju! bo spadłem do piwnicy! Oni zaś nie spieszą się do mnie, bo pewni są, że jestem już trupem!.. Ale jak oni to sprytnie urządzili! No, no! należałby im się medal na wystawie pomysłowych morderców!..

Młody detektyw odzyskał już swój humor. Wyprostował się, przeciągnął, jak po długim niezdrowym śnie i sięgnął ręką do kieszeni, ale napróżno. Rewolweru w niej nie było. Wówczas dopiero przypomniał sobie, że wstając, aby otworzyć drzwi, trzymał broń w ręku. Podczas upadku pewnie musiał upuścić rewolwer który także wpadł do piwnicy.

Włodzimierz, pełzając na czworakach, począł szukać za swym nieodstępnym towarzyszem. Bał się, co prawda, aby nie natknąć się na jaki szkielet ludzki, ale poszukiwania czynił bardzo starannie. Po jakim kwadransie uśmiech rozjaśnił mu oblicze. Znalazł rewolwer! Zapomniał wówczas o bólu, o krwi, spływającej mu po twarzy i dopiero zbadawszy, że broń jest nabita i nieuszkodzona, wyjął z kieszeni chustkę i obwiązał nią starannie swoją ranę.

— Piwnica jest pusta — mruknął potem — przeszukałem ją przecież wszerz i wzdłuż! Widocznie zbrodniarze gdzieindziej mają cmentarz dla swych ofiar, ale w takim razie, czemuż nie przychodzą? Kiedyż sprawią mi pogrzeb?!..

Upływ krwi z rany musiał być straszny, bo Włodzimierz poczuł, że słabnie, że nogi chwieją się pod nim. Ostatkiem sił zawlókł się w kąt piwnicy i tam usiadł na ziemi, sparłszy się plecami o ścianę.

— Myślą zapewne łotry — dumał sobie — że ja tu leżę ze skręconym karkiem i radzą teraz gdzie zwłoki moje zakopać! Owszem, niech przyjdą, to jeszcze w trójkę pogadamy sobie o tem i dopiero wtedy zobaczymy, komu się wyświęci w tej grze mogiła!... No teraz przynajmniej wiem, gdzie i jak zakończył życie Borys Jaroszyn. Pokazuje się zatem, że niema nic złego, coby ostatecznie na dobre nie wyszło!...

Nagle inna rzecz zwróciła jego uwagę. Przyłożył ucho do ściany i zaczął słuchać.

— Co to jest? — szepnął — zdawało mi się, czy też słyszałem skrzypnięcie drzwi? To oni idą, oni!... O Boże wszechmocny, użycz mi sił i sam kieruj moją ręką!..

Włodzimierz dźwignął się nieco i ścisnął kolbę rewolweru w dłoni. Ale naokół była cisza, głucha cisza cmentarna.

— Pomyliłem się!

W tej chwili doleciał go cichy szelest kroków. Chwiejny blask latarki zaglądnął przez szparę w drzwiach.

— To oni! Zobaczymy, kto będzie zwycięzcą? Szelest kroków umilkł; zazgrzytał klucz w zamku i drzwi stanęły otworem. Włodzimierz podniósł rewolwer — ale spuścił go zaraz, ujrzał bowiem w progu bladą, wylękłą Wierę.

— Wiero! — jęknął — czy to ty naprawdę? Młoda dziewczyna podeszła ku niemu i z przestrachem spojrzała na głowę, obwiązaną zakrwawioną chustą.

— Pan jesteś zraniony? czy bardzo?

— Nie, nie Wiero! nie bardzo! nie czuję nawet tej rany, skoro ty tu jesteś, skoro zjawiłaś się, jak anioł pocieszyciel i wybawiciel! — rzekł słodko młody detektyw, przyciskając dziewczę do piersi. – W tym domu dzieją się straszne rzeczy, ale dzień kary już jest bliski!...

Wiera ujęła latarkę i podniósłszy ją, spojrzała ku górze. W twarzy jej przebijał się teraz wyraz szalonego strachu i odrazy. Teraz zrozumiała, jakim sposobem mogli tu podróżni znikać bez śladu. Włodzimierz podniósł też zwrok ku powale i wzdrygnął się, jakby zobaczył upiora.

Pułapka była jeszcze otwarta.

— Że ja, jako tajny ajent, nie domyśliłem się tej zasadzki, tego sobie nigdy w życiu nie daruję! — wyszeptał półgłosem.

— Nie traćmy czasu napróżno! — odezwała się na to Wiera – pan musisz w tej chwili uciekać... szkoda każdej sekundy... chodźmy!..

Wybiegła na chwilę do piwnicznego korytarza i powróciła zaraz.

— Iwan pije jeszcze z ojcem w szynkowni i pewnie naradzają się, co z panem zrobić. Pan musisz opuścić gospodę, zanim oni tu nadejdą!

— A gdybym właśnie zaczekał tu na nich i odrazu rozmówił się dokładnie? — odparł Włodzimierz, któremu nowa myśl przyszła do głowy.

Wiera z rękami złożonemi, jak do modlitwy, padła na kolana przed detektywem.

— Na Matkę Bożą kazańską zaklinam was panie, wysłuchajcie mej prośby i uciekajcie czemprędzej! Ja wiem, że wam obawa nieznana, że nie lękacie się niebezpieczeństw, ale sił wam brak, bo rana nie drużka, a Iwan — to dziki zwierz, z którym teraz nie dacie sobie rady!... On was siekierą uśmierci!

Włodzimierz pochylił się nad dziewczyną.

— Siekierą? siekierą mówisz? czy tą, którą dobił Borysa Jaroszyna? Czy ty wiesz co Wiero o tem morderstwie?

— Nie, nie! niech mi tak Bóg dopomoże, ale..

— Co chciałaś powiedzieć Wiero? Wyznaj mi wszystko otwarcie, a ja za to zrobię, co pragniesz i w tej chwili opuszczę gospodę.

Dziewczyna zerwała się z klęczek i z przestrachem spojrzała ku drzwiom.

— Czy słyszysz pan, jak oni tam hałasują?.. Tylko, że ich już tu nie widać! Uciekaj! na Boga uciekaj, bo za chwilę już będzie zapóźno! A jeśli już koniecznie pragniesz wiedzieć, to powiem ci, że, o ile mnie się zdaje, tutaj zginął Borys Jaroszyn!...

— A gdzie go pogrzebali?

— Nie wiem. Może tu, gdzie stoimy, może w lesie pod śniegiem... ale chodź pan! na miły Bóg! chodź pan nareszcie!...

I Wiera, wziąwszy detektywa pod rękę, siłą pociągnęła go na korytarz.

Z rewolwerem w prawej ręce, lewą wspierając się na ramieniu Wiery, wstąpił Włodzimierz na schody, prowadzące z piwnicy do sieni. Z szynkowni dolatywał szczęk tłuczonego szkła, chrapliwy krzyk Iwana i głos starego Lubasza.

— Kłócą się jeszcze i to tak głośno, że pewnie nie usłyszą skrzypienia bramy – szepnęła do detektywa dziewczyna – jeszcze parę minut i jesteś pan uratowany... A teraz zasłoń latarkę przed wiatrem...

I Wiera, podawszy Włodzimierzowi latarkę, odryglowała bramę. Skrzypnęły wrzeciądze, ale świst wichury zgłuszył ten skrzyp. Tuman śniegu, pędzony wiatrem – uderzył oboje uciekających w twarze i wreszcie stanęli na czystem polu przed gospodą.

— Nie traćmy czasu! naprzód! W borze będziesz pan dopiero bezpieczny...

Śnieg miękki leżał w wysokich zaspach przed gospodą. Wiera ujęła Włodzimierza pod ramię i w milczeniu zdążała w stronę gąszczy, które czerniły się o jakie pięćset kroków. Z szalonym wysiłkiem przebrnęli przez zaspy i wreszcie zatrzymali się na skraju lasu.

— A teraz dalej w drogę! — rzekła z naciskiem dziewczyna — idź pan prosto w tym kierunku, a za szóstem drzewem trafisz na wązką ścieżynę, która prowadzi do folwarku. Za godzinę możesz tam stanąć. Przyjmą cię chętnie, bo właściciel tej osady to bardzo porządny człowiek! Gdy się już tam dostaniesz, możesz powiedzieć sobie, że jesteś ocalony. No! bierz pan latarkę i w drogę, w drogę czemprędzej!...

Włodzimierz ujął dziewczę za rączki i zaczął je okrywać pocałunkami.

— A ty Wiero? – wyszeptał — co z tobą będzie?

— Ja?... ja powrócę tam, do gospody...

— Za nic w świecie! – krzyknął młody detektyw — za nic w świecie, Wiero! Czy sądzisz, że ja potrafiłbym cię teraz opuścić, skoro wiem, kim są ci ludzie? Za kwadrans obaj zejdą do piwnicy, aby załatwić tam ze mną ostateczny rachunek!... Wiedzą, że jestem na tropie zbrodni i że tylko śmierć moja potrafi ochronić ich od szubienicy... Ale oni mnie tam nie znajdą! A któż mógł odryglować drzwi od piwnicy? Kto mógł oswobodzić i uratować ich wroga?... Ty jedna, Wiero i na tobie zechcą oni wywrzeć swój gniew, swoją wściekłość!... Zostanę więc, bo ja z kolei muszę ciebie bronić!...

Głos Włodzimierza drżał przy tych słowach. W jego dźwięku przebijała się nietylko wdzięczność za uratowanie życia, ale i miłość głęboka. Wiera zawahała się chwileczkę i przytuliła do Włodzimierza, ale cofnęła się zaraz.

— Niech się pan o mnie nie boi! — wyszeptała — może ja mam więcej odwagi i siły, jak pan sądzi, a zresztą pewna jestem, że mój ojciec nie pozwoli mi żadnej krzywdy wyrządzić.

— Wiero! sama powiedziałaś, że Iwan to dziki zwierz, nad którym nikt nie potrafi zapanować; sama mówiłaś, że ojciec słucha go, jak dziecko! Więc kiedy nie chcesz iść ze mną, to pozwól — wrócę do gospody i pociągnę zaraz tych ludzi do odpowiedzialności!... Mam przecież jeszcze rewolwer!...

Włodzimierz sięgnął do kieszeni i ręka opadła mu bezwładnie! W kieszeni rewolweru nie było... Musiał go zgubić podczas ucieczki na polance — a szukać go teraz wśród śniegu byłoby wprost dzieciństwem.



Włodzimierz podniósł rewolwer — ale spuścił go zaraz, ujrzał bowiem w progu bladą, wylękłą Wierę.

Wiera zauważyła ten ruch i przestrach Włodzimierza.

— Zgubiłeś pan rewolwer? — spytała z obawą.

— Tak! — odparł posępnie detektyw – zgubiłem go, gdyśmy przekopywali się tu przez zaspy! Teraz gra jest wcale niebezpieczna, bo tam w szynku są oni dobrze uzbrojeni, podczas gdy ja mam gołe pięści i to dzisiaj nie wiele warte!...

— Uciekaj pan! uciekaj! – błagała Wiera – nie mogę pójść teraz z tobą, ale z dnia na dzień będę czekała wieści od ciebie!

I to mówiąc, spojrzała w stronę gospody. W oknach szynkowni widać było jeszcze światło. Równocześnie jednak dał się słyszeć łoskot zamykanych drzwi.

— Boże! – szepnęła Wiera — czy słyszysz pan? Wyszli z szynkowni i teraz idą do piwnicy!... Uciekaj! uciekaj, bo inaczej wszystko stracone!

Brzęk rozbitej szyby zgłuszył na chwilę wycie wiatru – i równocześnie rozległo się chrapliwe wołanie:

— Wiera!... Wiera!...

Dziewczę znów padło na kolana przed Włodzimierzem.

— Słuchaj! ja muszę wracać. muszę wstrzymać pogoń choć na chwilę! Oni lepiej znają tę ścieżkę do folwarku i las od ciebie, więc mogliby ci przeciąć drogę, a ja tego nie chcę! Drżę na myśl, że mógłbyś znów wpaść im w ręce. Uciekaj!...

I wyciągnęła błagalnie ręce do detektywa, który z latarką w ręce stał i patrzał w jej bladą twarzyczkę, na której malował się szalony przestrach.

— Dobrze! pójdę Wiero! ale pamiętaj, że wrócę! Ty czekaj na mnie i staraj się tylko zachować życie..

Włodzimierz znikł wśród krzaków, a dziewczę podniosło się z klęczek i wolnym krokiem poszło ku gospodzie. — W główce zawirowała jej na chwilę myśl, że powinna była prosić Włodzimierza, aby oszczędzał jej ojca, ale wnet uśmiechnęła się gorzko. Włodzimierz był ajentem policyjnym i pewnie jej prośby nie powstrzymałyby go od spełnienia obowiązku!

Może dobę, może dwie, zbrodniarze cieszyć się będą wolnością, a potem skują ich w kajdany... a potem...

Wiera wzdrygnęła się, przez chwilę myślała, że nad gospodą jej ojca, wśród śnieżnej zawiei, widzi szubienicę.

W tej chwili drzwi od szynku otworzyły się z łoskotem i na polankę wyskoczył Iwan ze strzelbą w ręku. Za nim postępował Wasyl Lubasz, niosąc małą latarkę. Wiera, nie mówiąc ani słowa, zatrzymała się przed nimi.

— O! — krzyknął groźnie Iwan – jest zdrajczyni! jest ta dobra córka, która sama przędzie stryczek na szyję swojego ojca!...

To rzekłszy, uchwycił Wierę za ramię i przyciągnął ją do siebie.

— Nie dotykaj się mnie zbrodniarzu!... Na twoich rękach krew! Ja cię nienawidzę!...

Parobczak wybuchnął dzikim śmiechem.

— Toś ty ułatwiła temu psu ucieczkę! – ryknął z wściekłością — ha! dyabeł nam skrewił dziś z swoją pomocą. Kto inny dawnoby już skonał, a ten łotr, niby kocur, spadł na ręce, ale i to byłoby mu się na nic nie zdało, gdyby nie twoja pomoc łajdaczko! Mów mi teraz zaraz, gdzie on jest? gdzieś go ukryła?!...

— Szukajcie go sobie! — odrzekła Wiera — szukajcie! On dawno już zniknął wśród lasu!..

(Ciąg dalszy nastąpi).



Nowa szkoła w Jaśle: Widok zewnętrzny gmachu.

Otwarcie nowej szkoły w Jaśle.

Z pociechą i dumą możemy o sobie powiedzieć, że aczkolwiek jest Galicya krajem bardzo biednym—to przecież w granicach możliwości—czynimy wielkie wysiłki i ofiary dla dobra publicznego. Większa część instytucyj humanitarnych, zawdzięcza istnienie swoje inicyatywie i ofiarności społeczeństwa. Szkolnictwo i rzetelny rozwój jego w ostatnich latach, jest niemniej pięknym, a silnym dowodem tych usiłowań.

Jasło, biedne i niewielkie, galicyjskie miasteczko – jest mimo tego jednem z najruchliwszych w dziedzinie szkolnictwa. Parę lat minęło zaledwie, gdy wybudowano tam wspaniały gmach gimnazyalny – a już w tym roku oddaną została do użytku wydziałowa szkoła żeńska o 11 klasach. Gmach ten dwupiętrowy, pięknie a praktycznie przytem zbudowany, posiada wszystkie postępowe urządzenia i ulepszenia. Uroczystości poświęcenia dopełnił najprzewielebniejszy ks. biskup dr. Pelczar. Wieczorem odbył się piękny, podniosły obchód w miejscowym Sokole. Wygłoszono kilka okolicznościowych mów, a uczennice tej szkoły, poprzebierane za cyganki, odśpiewały pod kierunkiem nauczycielki, panny St. Barównej—piękne, nasze, narodowe pieśni.

Że budowa nowej szkoły tak prędko przyszła do skutku — zasługa w tem burmistrza d-ra Andrzeja Pawłowskiego i dyrektora szkoły, wielce miastu i społeczeństwu zasłużonego jubilata, Teodora Bernadzikiewicza, który już dawniej przysłużył się Jasłu—założywszy piękny park Kościuszki.

Jedna z rycin naszych przedstawia nauczycielskie grono – w pośrodku widzimy dyrektora-jubilata, ozdobionego złotym krzyżem zasługi. Prócz tego, podajemy widok zewnętrzny gmachu, oraz malowniczą grupę dziewcząteк, za cyganki poprzebieranych, które śpiewem swoim uświetniły obchód w Sokole.



Nowa szkoła w Jaśle: Grupa ukostyumowanych uczennic, które śpiewały w uroczystym obchodzie otwarcia szkoły.

Straszny wypadek w fabryce papieru.

Ani sumienie pracodawców, ani ustawa nie bierze w dostateczną obronę biednych, upośledzonych robotników. Pracodawca uważa swoich robotników za niewolników, którzy za marną zapłatę poświęcają swój czas, siły, nierzadko zdrowie i życie — na usługi Molocha, który zwie się „kapitałem“. Niema dnia, żeby smutne wieści nie dochodziły opinii publicznej o strasznych wypadkach, które rozgrywają się w wielkich warsztatach pracy. Niedawno taki wypadek, świadczący o braku sumienności i nadzoru — rozegrał się w Żywcu.

W fabryce papieru w Żywcu, padła ofiarą swego zawodu – młoda dziewczyna. Obsługiwała ona jedną z maszyn, przy której również zajętą była jedna z jej koleżanek. W chwili, gdy podawała papier—przybliżywszy się nieostrożnie pod pas transmisyjny, została pochwyconą, przez zdradziecką maszynę i w okropnych cierpieniach — potargana literalnie na kawałki — skończyła swój męczeński żywot robotnicy. Towarzyszka jej pracy, cudem prawie ocalała. Odepchnięta bowiem kołem rozpędowem, upadła, co ją ochroniło od strasznego losu koleżanki. Ofiara zawodu nazywała się Aniela Habdas, koleżanka jej — Zofia Nepomuczek.



Straszny wypadek w fabryce papieru: Fot. Strenger. Żywiec.
Robotnica Aniela Habdas pochwycona przez maszynę za warkocz — pada ofiarą zawodu.

Kółko amatorskie w Sieniawie.

Teatr — to jedna z najmilszych, a zarazem i najszlachetniejszych rozrywek. Trudno wyobrazić sobie człowieka inteligentnego, żyjącego w większem jakiemś środowisku, który obchodziłby się bez dwóch rzeczy: bez dzienników i teatru. Nie wszyscy jednak i nie wszędzie mogą korzystać z tego dobrodziejstwa kultury. Teatr jest dostępnym tylko dla mieszkańców dużych miast, ludzie żyjący zaś na prowincyi, muszą się wyrzec tej szlachetnej rozrywki, lub — ograniczyć do amatorskich przedstawień teatralnych. Teatr amatorski nie zastąpi, co prawda, poważnej sceny — umiejętnie jednak i z zamiłowaniem prowadzony — może dać niejaką rekompensatę. Pozycyę taką zajął amatorski teatr w Sieniawie. Towarzystwo grywa regularnie raz na miesiąc, a o siłach wykonawczych i zdolnościach miłośników sceny, świadczy najlepiej repertoar, w skład którego wchodzą takie

sztuki, jak „Karpaccy górale“, „Chłopi arystokraci“, a nawet operetki, jak „Baron cygański“. Kierownikiem artystycznym sympatycznego kółka jest p. Zenon Stasiuk, powszechnie lubiany i szanowany urzędnik i obywatel sieniawski. Pod wytrawną jego ręką, rozwija się i prosperuje teatrzyk znakomicie. Publiczność popiera szlachetne usiłowania amatorów, nic więc dziwnego, że duża sala Sokoła jest zawsze przepełnioną, ilekroć amatorzy grają. Przedstawienia te, oprócz moralnej doniosłości, mają jeszcze i to praktyczne znaczenie, że czysty dochód z wieczoru przeznaczany bywa na szlachetne humanitarne cele, jak ubogich gminy, Sokół, kościół i t. p.

Rycina nasza przedstawia grono amatorów w Sieniawie, z ich artystycznym kierownikiem w pośrodku.



Kółko amatorskie w Sieniawie: Grono miłośników sceny z kierownikiem artystycznym p. Stasiukiem.

Po zamachu na br. Nolkena.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, Nolken wyliże się z ran, otrzymanych podczas zamachu na niego. Pokrytego przeszło stu ranami na całem ciele, pilnują lekarze, którzy dokładają wszelkich starań, by ciężko chorego utrzymać przy życiu. Po wyleczeniu się, będzie jednak wskutek ran, otrzymanych na twarzy i głowie, ogromnie zeszpecony i prawdopodobnie straci jedno oko.



Po zamachu na br. Nolkena: Oberpolicmajster Warszawy br Nolken, ranny wskutek zamachu przy moście pragskim.

Rany, aczkolwiek nie są wielkie, są jednak o tyle niebezpieczne, że wskutek wdarcia się do ciała drobnych szczątków żelaznych gwoździ, którymi była wypełniona bomba, może nastąpić zakażenie krwi, skutkiem czego mogłaby też nastąpić i śmierć. Zdaje się jednak, że skoro dotychczas choroba nie wzięła groźnego dla jego życia obrotu, policmajster Warszawy będzie miał sposobność pokazania się publicznie, jako żywy przykład zemsty ludowej.

Wskutek zamachu na Nolkena, strach ogarnął wszystkich czynowników, którzy czują, że nie mają czystych rąk i że na nich gotowa spaść nieprzewidzianie bomba, lub trafić kula rewolwerowa. Powtarzające się ciągle zamachy na policyantów i oficerów, utrzymują wszystkich czynowników warszawskich w ciągłej obawie. Ta obawa spowodowała, że rząd rosyjski ma zamiar zaprowadzenia w Warszawie stanu oblężenia na przeciąg jednego miesiąca. Z drugiej strony, każdy z tych, niepewnych swego losu, dnia i godziny, stara się obecnie przedstawić w jak najlepszym świetle i zatrzeć ślady krwi, którą były splamione jego ręce. Najlepszy przykład mamy na Trepowie, gubernatorze petersburskim, który w rozmowie z pewnym korespondentem pism zagranicznych, powiedział, że Europa mylnie uważa go za jednę z odpór reakcyi! A w końcu starał się zmyć ślady swych okrucieństw, deklamacyjnem zapewnieniem, że „dzień 22 stycznia w Rosyi się już nie powtórzy“!

C. k. Skarb państwa przed Sądem.

Bezpieczeństwo życia, zdrowia i całości członków nie zawsze i nie wszędzie przestrzeganem jest na naszych kolejach. Ciągle się słyszy i czyta o smutnych wypadkach, jako następstwie braku nadzoru i ostrożności ze strony administracyi kolejowej. W wypadkach poszkodowania na zdrowiu, odpowiedzialnym jest zarząd kolei, względnie skarb państwa, o ile katastrofa przytrafiła się na szlakach kolei państwowej, sąd rozstrzyga wtedy o słuszności i wysokości odszkodowania.

Żądanie takie postawił niedawno oficyał sądowy, p. Jakliński, a wytoczywszy sprawę przed kratki sądowe, uzyskał wyrok, przyznający mu 1650 koron od c. k. Skarbu państwa. Wypadek dotyczący miał miejsce na stacyi kolejowej w Jaśle. Dnia 20 lutego z. r. wsiadał do pociągu osobowego, przedziału II. klasy, p. Jakliński. Przy przestępowaniu progu, zdezylowane drzwi zatrzasnęły się nagle, raniąc oficyała boleśnie w nogę. Oczywiście, że zamierzona podróż została przerwaną i p. oficyał, odwieziony z dworca do domu — długi czas musiał pozostawać w opiece lekarskiej. Przyszedłszy do zdrowia — powierzył natychmiast sprawę swoją adwokatowi drowi Sienkiewiczowi w Jaśle. Sąd uznał słuszność żądania i zasądził Skarb — jako właściciela i odpowiedzialnego za kolej — na wysokie stosunkowo odszkodowanie.

Przedtem dokonano jeszcze oględzin na miejscu. Trybunał sądowy, z radcą sądu p. Czachurskim na czele, udał się na dworzec kolejowy i tu zbadano, w jaki sposób i z czyjej winy przycięły w wagonie drzwi nogę p. Jaklińskiemu.

Rycina nasza przedstawia właśnie chwilę ekspertyzy sądowej, gdy radca Czachurski ze znawcami, świadkami i zastępcą Skarbu dokonywają oględzin.

Wypadek zasądzenia skarbu państwowego na odszkodowanie jest bardzo znamiennym i pocieszającym. Przedewszystkiem daje piękne świadectwo o bezstronności i sprawiedliwości naszych sądów — powtóre ośmiela do nadziei, że po takiej nauce państwowe koleje będą więcej dbałe o bezpieczeństwo pasażerów.



Nowa szkoła w Jaśle: Grono nauczycielskie z dyrektorem T. Bernadzikiewiczem w pośrodku.



(Martyrologia przedświąteczna Pafnusia. — Rewizya kieszonkowa. — Mąż górą. — Pod znakiem „F. R." — Życzenia świąteczne. — Roślina, przepowiadająca pogodę. — Seuzacyjna walka zwierząt).

Nie jestem wieszczem, ani nawet zwykłym poetą, mimo to jednakże miewam wieszcze przeczucia. W poniedziałek rano przeczuwałem, że mnie coś spotka, to też zaraz po śniadaniu chciałem się „cichcem" wymknąć do biura, sądząc, że tam będę zupełnie bezpieczny, ale niestety zatrzymała mnie żona słowami, zwiastującemi burzę:

— Słuchaj-no, co ty robić właściwie myślisz?

— Ładnie mi się tydzień zaczyna, jak mówił skazaniec, prowadzony w poniedziałek na rusztowanie — pomyślałem w duchu, poczem głośno odpowiedziałem: — Rozmyślam nad owymi zamierzchłymi czasami, gdy w Krakowie dobrodziejem chłopa był ten, który od niego kupował po cztery centy litr mleka.

— Dowcipy schowaj sobie do biura, lub do Hawełki! — krzyknęła żona. — Nie udawaj naiwnego, bo wiesz, że trzeba pieniędzy na święta. Kiedy ja będę piec?

Spełniły się moje przeczucia! Bogiem i prawdą byłem przygotowany na ten zamach — i miałem w kieszeni zdobytą krwawym potem zaliczkę biurową w kwocie 50 koron. Rozłożyłem te korony po kieszeniach podobnie, jak przezorny wódz rozkłada swe oddziały, ażeby po wzięciu do niewoli jednego, lub drugiego, pozostał mu jeszcze trzeci, lub czwarty. Ale wódz walczy z nieprzyjacielską armią, ja zaś miałem przed sobą żonę, *vis major*. I podobnie, jak wierzyciel, zaopatrzony ze strony sądu w tak zwaną *grabikartę*, przeszukuje z pomocą woźnego kieszenie przychwyconego dłużnika, tak żona moja zaczęła przeszukiwać moje kieszenie. Sądziłem, że potrafię urwać trochę z zaliczki dla siebie, niestety plan mój nie udał się. Żona zabrała wszystko, nawet owe kilkadziesiąt halerzy, które mi pozostały z dawniejszego czasu.

— Teraz wiem, o czem ty myślisz — mówiła moja połowica. — Wysilasz cały twój dowcip na to, ażeby oszukać żonę. Ale Bóg czuwa jeszcze nademną nieszczęśliwą.

Poszedłem do biura, zgrzytając zębami. W tramwaju zrobiłem awanturę konduktorowi, woźnemu w biurze nawymyślałem, pokłóciłem się z kolegą, ale to wszystko nie zwróciło mi straconych koron, ani nawet owych kilkudziesięciu halerzy. We wtorek miałem spokój, we środę jednakże po śniadaniu żona zaczęła mię głaskać po łysinie, co mnie zawsze niepokoi.

— Wiesz Pafnusiu, miałeś słuszność, kiedy rozmyślałeś nad owymi czasami, gdy można było dostać kwartę mleka za 8 halerzy — mówiła żona. — Dzisiaj taka drożyzna! Nie uwierzysz nawet, że już nie mam ani grosza z owych 50 koron, a tyle jeszcze rzeczy muszę kupić!

— Zrób kieszonkową rewizyę — odparłem ironicznie.

— Widzisz Pafnusiu, święta są tylko raz na rok — mówiła dalej żona łagodnie. — Dzieci na nie cieszą się od kilku tygodni...

— A ja drżę od kilku tygodni.

— Pafnusiu, jeszcze 20 koron — błagała żona.

— Mogę zdefraudować librę papieru, kilka ołówków, tuzin piór, zresztą nic — zauważyłem ironicznie.

W odpowiedzi żona rozpłakała się i zaczęła coś rozprawiać o tyranach domowych. Trzymałem się dzielnie przez dziesięć minut, aż wreszcie skapitulowałem dobrowolnie.

— Przyniosę ci pieniądze, ale muszę pożyczyć — odpowiedziałem. — Nie róbże mi po świętach wyrzutów z powodu długów. Biura opuszczać nie mogę, więc, chodząc za pożyczką, spóźnię się na obiad.

— Ale nie bardzo.

— Godzinę, dwie... — odrzekłem wspaniałomyślnie.

Żona owinęła mi szyję własnoręcznie chusteczką w kratkę i wyprawiła do biura. Wykołatałem drugą zaliczkę i powróciłem do domu w trzy godziny po obiedzie. Kiedyindziej potok wyrzutów byłby spłynął na moją głowę, tym razem żona przyjęła mnie bardzo łaskawie. Czasem i mąż bywa górą.



Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.
Stanisław Jaroński.

Taką martyrologię świąteczną opowiadał mi jeden z znajomych, a ja spisałem ją ku zbudowaniu łaskawych czytelników. Niechaj pan Pafnuś pocieszy się tem przeświadczeniem, że tydzień bieżący jest w rozmaitym stopniu dla wszystkich mężów krytycznym. Ano, trudna rada, kto chce mieć święta, musi wydać sporo monety!

Żyjemy zresztą wszyscy pod znakiem: F. R. Wszyscy, nawet kawalerzy, oczekują z pewnem podnieceniem dorocznego *Festum Resurrectionis* — święta Zmartwychwstania. A to święto ma dla nas Polaków podwójne symboliczne znaczenie.

Obchodzimy zmartwychwstanie Chrystusa, a zarazem pragniemy powstania naszej ojczyzny, którą wrogowie przywalili kamieniem grobowym. I wierzymy, że przyjdzie czas, gdy oprócz święta kościelnego święcić będziemy także narodowe święto zmartwychwstania. Spożywając jajko wielkanocne, pomyślcie o tem czytelnicy i przy tej sposobności przyjmijcie od „Nowości Illustrowanych" życzenia z powodu świąt. Oby wasza praca około rodziny i społeczeństwa przyniosła obfite owoce! *Q. f. f. s.*

A teraz musimy się nieco rozglądnąć po świecie. Podczas wystawy jubileuszowej w Wiedniu w r. 1880, znany meteorolog, J. F. Nowak, przebywający obecnie w Londynie, wystąpił przed publicznością z rośliną, która ma taką czułość na zmiany w atmosferze i w magnetyzmie ziemi, iż daje o nich znać kilka a nawet kilkanaście dni naprzód. O istnieniu takich roślin wiedzą uczeni, chodzi tylko o to, czy czułość ich jest tak dalece rozwinięta, ażebyśmy z zachowania się liści mogli wyciągać ściślejsze wnioski o przyszłym stanie pogody.

Nowak przez 20 lat czynił nad ową rośliną, zwaną *Alruz precatorius*, spostrzeżenia, a równocześnie obserwował plamy na słońcu, tudzież inne będące w związku objawy meteorologiczne i przekonał się, że wspomniana roślina owa, przez położenie i kształt gałązek i liści przepowiada pogodę, deszcz, burzę, cyklony, które w oznaczonym czasie i w oznaczonej okolicy mają powstać. Nowak twierdzi, że roślina ta posiada taką czułość na zmiany atmosferyczne, iż w kole o promieniu 7.000 kilometrów zmiany owe działają na układ jej liści. Nowak chce obecnie założyć dwie stacye meteorologiczne w Londynie i Wiedniu, gdzie hodowałby na wielką skalę ową roślinę, pochodzącą z Meksyku i wydawał biuletyny meteorologiczne na podstawie wskazówek, któreby uzyskał z układu jej liści. Cesarz i niektórzy arcyksiążęta już przed kilku laty ofiarowali znaczniejsze kwoty na ten cel, pewną sumę złożyły towarzystwa rolnicze i okrętowe, obecnie zaś dwaj magnaci, hr. Eltz i hr. Esterhazy dali razem 70.000 koron. Nowak na razie urządził prowizoryczną stacyę meteorologiczną w Wiedniu, a później w miarę napływania przystąpi do zrealizowania całego planu. Czy ziszczą się nadzieje Nowaka — okaże przyszłość. Uczeni wobec tej sprawy zachowują się sceptycznie.

Rok bieżący jest wielce senzacyjnym pod każdym względem, ale bywają senzacye tak niespodziewane, że nawet nerwy marynarza muszą wobec nich zadrgać. Na okręcie niemieckim *Neidenfels*, który dążył z Indyj do Ameryki i po drodze walczył przez kilka dni z burzą, wypadek dał spracowanym marynarzom bardzo burzliwe widowisko. Na pokładzie okrętu znajdowały się w klatkach rozmaite dzikie zwierzęta. Podczas burzy jedna ze ścian runęła, skutkiem czego trzy tygrysy mogły przejść do przegrody słonia. Poważny słoń jadł sobie najspokojniej swoje śniadanie, gdy tygrys wyciągnął łapę, ażeby część pożywienia sobie zabrać. Słoń trąbą silnie odtrącił tygrysa, który, wydawszy ryk z bólu, rzucił się na słonia. Pozostałe dwa tygrysy rzuciły się również na słonia i powstała straszna walka pośród ryku przerażającego. Zdawało się. że zwierzęta rozbiją klatkę i wypadną na pokład. Żelaznemi drągami zdołali dozorcy odpędzić dwa tygrysy, trzeci jednakże — mimo razów — darł pazurami i zębami ciało słonia i dozorcy rozbili mu czaszkę, ażeby uratować słonia. Tygrys padł na miejscu, ale słoń zginął na trzeci dzień. Kapitan okrętu opowiadał dziennikarzom w jednem z miast portowych, że widowisko to było równie wstrząsającem, jak burza morska. *N..e.*

Stanisław Jaroński.

To może najwszechstronniejszy ze wszystkich artystów sceny lwowskiej. To także ptak wędrowny, który po długoletniem rozbijaniu się po świecie usiadł na stałe we Lwowie...

Lecz idźmy po kolei...

Syn znanego pianisty i kompozytora (ś. p. Feliksa), pochodzi z Królestwa. Gimnazyum ukończył w Krakowie. Podczas studjów gimnazyalnych uczy się na wiolonczeli. Po ukończeniu gimnazyum idzie na studya do Lipska, gdzie bawi trzy lata, podoba się ogólnie biorąc, udział w popisie na koncercie tamtejszego *Gewandthausu*, jako wiolonczelista i śpiewak.

Z Lipska udaje się do Paryża na studya śpiewne w r. 1888, uczy się rok cały u Sorilia, a potem u Criticosa. Następnie dostaje się jako wiolonczelista do opery londyńskiej *Cowend-Garoen i Druly Lane*, gdzie przebywa przez trzy lata. Tu żeni się z dawną koleżanką z konserwatoryum i zdolną pianistką — nazwiska rodowego nie pamiętam.

Z Londynu jedzie w r. 1891 do Warszawy, gdzie kształci dalej swój głos tenorowy u Millera, poczem dostaje engagement do operowej trupy łódzkiej w Odessie, gdzie spotyka się z ś. p. Romanem, wówczas jeszcze komikiem operetki.

Z Odessy jedzie z tą samą trupą do Łodzi. Przez cały ten czas sam jeden podtrzymuje cały repertuar tenorowy. Z Łodzi wraz z Paszkowskim angażuje go dyr. Pawlikowski na sezon 1894 do Krakowa, a stąd angażują go Heller i Bandrowski do opery i operetki we Lwowie.

Odtąd tu stale...

Artysta bardzo pożyteczny i jak już powiedziano wszechstronny. W operetkach występuje w rolach charakterystyczno-komicznych, w partyach tenorowych. W sezonie operowym jako wirtuoz-wiolonczelista zasila orkiestrę operową, która, jak wiadomo składa się u nas z artystów z wykształceniem konserwatoryalnem. Nadto gra na innych instrumentach. Mówi on po francusku, po niemiecku, po rosyjsku, po angielsku, po włosku a nawet po turecku. Nie dość?

W życiu codziennem ogromnie miły chłop. Lubi się bawić i umie się bawić. Od tego przecie jest stałym gościem w kancelaryjce Nr. 44 u Władka Antoniewskiego, gdzie z dziwną punktualnością choć zawsze tylko trafem, znajdzie się i sam gospodarz-prezes, i Stach Hierowski i zaufany Władek Paszkowski i Władek Jaworski — i gdzie z dziwną serdecznością, małe, ale dobrane towarzystwo tępi codziennie skromne składkowe śniadanko... *Klewe.*

Kącik humorystyczny.

Kwiatek stylowy.

...Uszczęśliwiony ucałował Julii dłoń, która rychło miała być jego żoną!

Ogłoszenie na czasie.

„Duży dom bankierski poszukuje kasyera. Pierwszeństwo mają cierpiący na podagrę".

Pouczające.

Profesor:

— Marysiu, co ty tam pchasz za papier do pieca? Zdaje mi się nawet, że to z mego biurka?

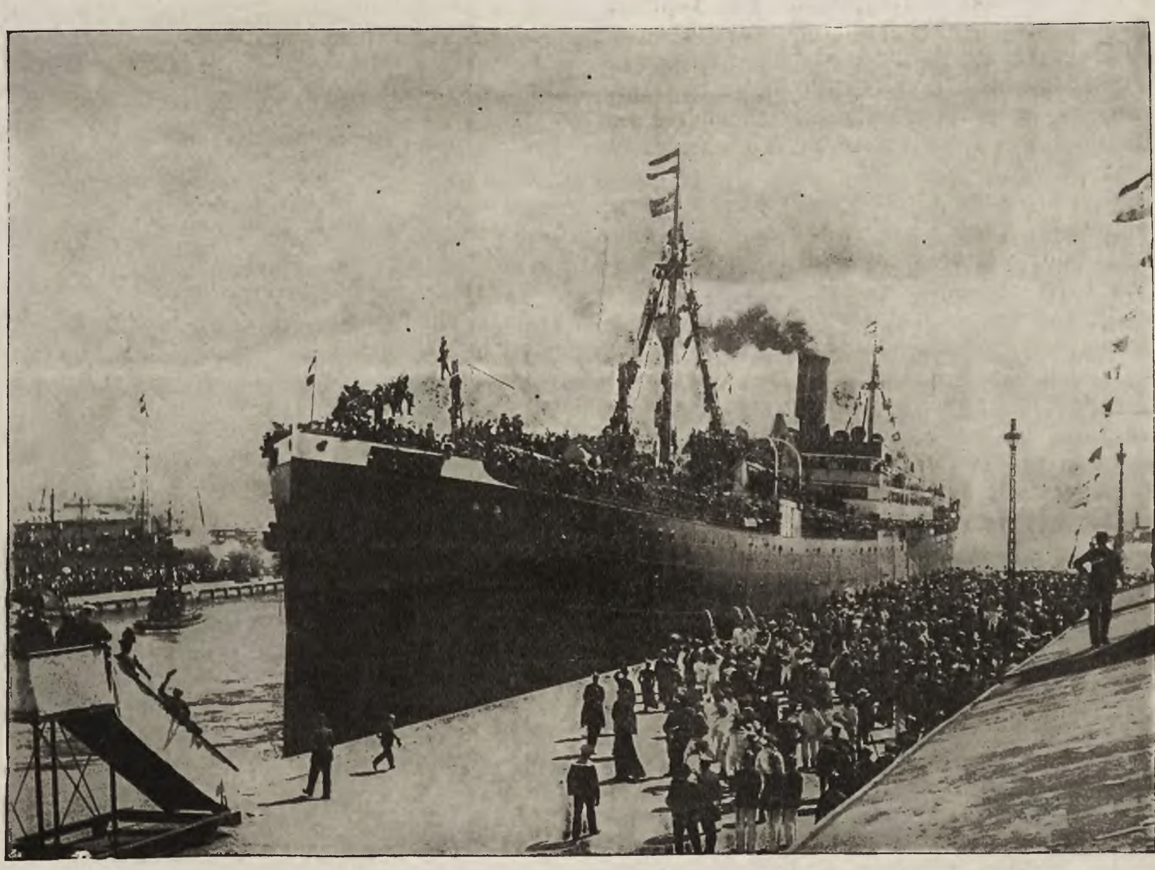
Marysia:

— Proszę pana, przecież już cały był zapisany!

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Ważny dokument dla zrozumienia niepowodzeń Rosyi w wojnie obecnie się toczącej, jak również dla poznania przyczyn wybuchu wojny, wydrukowała gazeta „Razświet“, organ księcia Uchtomskiego. Dokumentem tym jest memoryał Kuropatkina o stosunkach wojskowych Rosyi na Dalekim Wschodzie, wystosowany przez niego do cara, na specyalne polecenie zbadania tych stosunków, jeszcze wówczas, gdy tenże był ministrem wojny. Jest to jedno ze źródeł, z których można dokładnie i pewnie poznać, jak poważne sfery polityczne w Rosyi zapatrywały się na kwestyę wojny na Wschodzie i jaką wagę przykładały one do swych sił w Mandżuryi i na morzu. Przytoczymy tu główną treść memoryału Kuropatkina.

Na samym wstępie zaznacza Kuropatkin, ówczesny minister wojny, że stosunki z Japonią są dość naprężone. Po zajęciu Mandżuryi i z rozpoczęciem pozyskiwania sobie wpływów na Koreę — wzburzenie Japonii wzmagało się prawie z każdym miesiącem. Menerzy, prowadzący przedsiębiorstwa lasowe — oburzali przeciwko sobie i przeciw Rosyi opinię publiczną w Japonii i niejednokrotnie stosunki układały się już tak ostro, że zdawało się, iż przyjdzie do walki z bronią w ręku. Wszystko to miało miejsce w r. 1903. Z początkiem tego roku i z końcem r. 1902 sekretarz Bezobrazow, zachowaniem się swojem, wyraźnie dążył do zerwania z Japonią. Również inny przedsiębiorca lasowy, Bałaszew, był nie mniej od poprzedniego wojowniczo usposobiony względem Japonii. To też w państwie wschodzącego słońca patrzano z nerwowym niepokojem na akcyę Rosyan na Korei — a gdy w tym roku Kuropatkin przyjechał do Japonii, mógł na miejscu przekonać się o usposobieniu Japończyków względem Rosyi. Gdy zatem rząd rosyjski przy końcu r. 1903 zażądał od rządu koreańskiego koncesyi na wybudowanie kolei od rzeki Jalu aż do Seulu, z urządzeniami w Mazampo, w Japonii natychmiast postanowiono przyjąć groźną postawę w obec Rosyi i przeszkodzić rozpanoszeniu się Rosyan w Korei, na którą Rosya zawsze czyhała i nosiła się z myślą zaokrąglenia w ten sposób swych posiadłości na Dalekim Wschodzie.



Z wojny ros.-jap.: Pancernik szpitalny „Orel“ z eskradry Rożdiestwieńskiego.

Już wtedy, a więc w r. 1903, pisał Kuropatkin w swym memoryale, że akcya przedsiębiorców lasowych może wpędzić Rosyę w niepotrzebną wojnę z Japonią. Wojna ta byłaby napewno wybuchła wcześniej, gdyby nie polityka generała-adjutanta, Aleksieja, który opierał się i poskramiał zachcianki Bezobrazowa — i innych przedsiębiorców lasowych.

Otóż z tych słów ministra Kuropatkina dowiadujemy się, że do wojny parły i wojnę tę wywołały rosyjskie sfery czynownicze, których spekulacye i interesa handlowe były zagrożone przez konkurencyjną i wypierającą ich z Korei politykę Japonii. Raz jeszcze więc stwierdzamy to, że nie naturalny rozwój stosunków spowodował wojnę i sprowokował Japonię, ale lekkomyślna, nie licząca się nawet z siłami samej Rosyi gospodarka ra-



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Wjazd tryumfalny kozaków do Mukdenu przez bramę mukdeńską.

bunkowa czynowników rosyjskich na Dalekim Wschodzie. Ten sam sposób rabunkowej gospodarki, jaki prowadzą w Europie, chcieli zastosować i na Wschodzie, ale dzięki Japonii, która wcześnie poznała się na malowanych lisach, ich chytre zamiary co do Korei i wyzyskiwania Koreańczyków spełzły na niczem.

W dalszym ciągu pisał Kuropatkin w swym memoryale o stosunkach sił wojskowych na Dalekim Wschodzie: Siły te w ostatnich dziesięciu latach zwiększyły się czterokrotnie. „Jeżeli – pisze Kuropatkin do cara — dodamy, że eskadra Oceanu spokojnego doszła do straszliwej siły, to widać, jakie ofiary Rosya musiała poczynić — aby dojść do rezultatów, jakich nie osiągnięto jeszcze na żadnych kresach“. Armia rosyjska w Mandżuryi została tak silnie powiększoną, że już wówczas, według zdania Kuropatkina, po skoncentrowaniu armii w części południowej, mogła stawić skuteczny opór siłom japońskim. I w tej pewności pisał Kuropatkin w owym memoryale: „Teraz obrona rosyjskiego terenu na Dalekim Wschodzie uzyskała jeszcze silniejszą podstawę. O los Portu Artura i okręgu mandżurskiego możemy być zupełnie spokojni“.

Takiemi nadziejami żywił się Kuropatkin w czasie swego pobytu w Mandżuryi, jako minister wojny. Widzimy obecnie po przebiegu jednorocznej kampanii, jak się mylił i jak nie miał chyba zupełnie zmysłu oryentacyi, skoro mógł tak się łudzić co do wyniku możliwej z Japonią wojny. Chyba od ministra wojny można się było spodziewać większego zrozumienia stosunków wojskowych, a tego rodzaju oceny sił lądowych i morskich wskazują, że Rosya wcale nie miała pojęcia o siłach zbrojnych Japonii.

I w swym optymizmie posuwa się minister wojny tak daleko, że twierdzi, iż kolej sybirska jest w stanie w krótkim stosunkowo czasie przewieźć takie masy wojska, że Japonia zostałaby zgnieciona i zalaną samą liczbą żołnierzy. Widzimy, do jakiego stopnia był minister wojny pozbawiony zmysłu oryentacyjnego i że te na lodzie budowane przypuszczenia, są jego największą winą — za którą odpowiedzialność musi przyjąć — na siebie.

Mimo takiej zbytniej pewności siebie i wiary w siły Rosyi, odradzał on wojnę z Japonią i zwracał carowi uwagę na niebezpieczeństwo, jakieby groziło caratowi z wybuchem wojny. Mianowicie obawiał on się — żeby sprzymierzona z Japonią Anglia nie zaatakowała Rosyi z południa w Afganistanie i żeby Japonii nie poparły inne mocarstwa, których interesa na Wschodzie wymagały powstrzymania Rosyi w rozmachu zaborczym. Ten wzgląd polityczny jedynie, działał oziębiająco na Kuropatkina, a poza nim był on, jak zawsze pełen optymizmu i wiary w zwycięstwo Rosyi, w dobrego ducha armii i nawet, ustępując w walkach, umiał, jak i przedtem, wmawiać w siebie i innych, że duch żołnierzy na tem zyskuje — i że należy wszelkie cofnięcie się na pozycye dalsze uważać za manewr zwycięski.



Z wojny ros.-jap.: Inwalidzi rosyjscy w drodze do Matsuyame.

Te cytaty z memoryału Kuropatkina pozwalają nam wierzyć w to, że istotnie złudną i na glinianych podstawach była opartą wiara w potęgę tego kolosu, który nazywano przemożną i niezwyciężoną Rosyą. Już pierwsze walki nad Jalu wstrząsnęły tym kolosem, a później, jak piorun za piorunem, biły wciąż wieści o dalszych klęskach, rozpraszając nawet u najbardziej małodusznych wiarę w niezwyciężoną moc caratu!

Ten memoryał Kuropatkina, wykazując dosadnie, jak naprawdę nie liczono się w Rosyi poważnie z potęgą sił zbrojnych Japonii, jak najwyższe sfery wojskowe łudziły się i nader optymistycznie zapatrywały na swe własne siły — jak wprost lekkomyślnie postępowały władze czynownicze w Mandżuryi i jak prowokująco zmierzały do wywołania wojny — jest jednym z najciekawszych i najważniejszych dokumentów, wyjaśniających i przyczyny wybuchu wojny i przyczyny tych niepowodzeń i klęsk, będących stałym udziałem Rosyi.

* * *

Admirał Rożdiestwieński opuścił w końcu Nossi-Be i uczynił to tak niespodzianie, że prasę europejską mile zdziwiło, gdy przyszła wiadomość, że flota rosyjska znajduje się na wysokości Singapore i że, przepłynąwszy cieśninę malajską, zmierza ku wodom chińskim. To, że flota Rożdiestwieńskiego opuści kiedyś wody francuskie, nie mogło być nie do przewidzenia, ale powątpiewano poważnie, czy flota ta zechce udać się na Ocean indyjski i płynąć ku Wschodowi, gdyż według mniemania powszechnego, wyprawa ta nie ma żadnego celu i nie może mieć szans powodzenia.

Spodziewano się, że admirał Togo spotka flotę rosyjską w cieśninach malajskich, gdzie japońska flota torpedowa mogła z powodzeniem uderzyć — i zniszczyć przynajmniej parę okrętów rosyjskich. Tymczasem okazało się, że taktyka admirała Togo jest zupełnie inna. Wie on doskonale o tem, że rosyjska eskadra jest pozbawioną obecnie niemieckich okrętów transportowych, które towarzyszyły jej aż do Nossi-Be, wiozące węgiel i inne zapasy, potrzebne do żeglugi i że skazaną jest jedynie na obsługę rosyjskich transportowców, których stosunkowo niewielkie zapasy, też z czasem się wyczerpią. Dlatego też wybrał on inny sposób działania, niż przypuszczano początkowo. Postanowił wyciągnąć flotę rosyjską na Ocean Spokojny i wydać Rożdiestwieńskiemu bitwę, po częściowem wyczerpaniu się jego zasobów węglowych. Wiemy z dotychczasowej taktyki sposobu postępowania Japończyków, że uderzają oni stanowczo, po głębokiej rozwadze, obliczywszy wszystkie warunki, które mogą przemawiać za zwycięstwem. Zamiast puszczać się na ryzyko, wolał trochę oddalić termin miłego spotkania się obu eskadr, a działając w pobliżu portów japońskich, będących naturalną podstawą jego operacyj wojennych — mieć tę pewność siebie, która cechuje każdy krok wodzów japońskich.

Gdy na południu walczy Togo, druga eskadra japońska, pod wodzą Kamimury, blokuje Władywostok i strzeże znajdujących się tam okrętów rosyjskich, którym mogłaby przyjść chętka wyjechania na spotkanie Rożdiestwieńskiego. Obawa o Władywostok, którego oblężenie jest kwestyą dnia, zmusiła i pobudziła tak Rosyę, jak i Japonię, do intenzywniejszej działalności, w celu rozstrzygnięcia o losach tego ostatniego portu rosyjskiego na Wschodzie.



Z wojny ros.-jap.: Generał Kuropatkin ozdabia krzyżami zasługi żołnierzy za ich waleczność.

Komendant trzeciej armii w Mandżuryi, generał Charkiewicz, telegrafował o wysadzeniu na brzegach Korei trzech nowych dywizyj japońskich — mających ruszyć pod Władywostok, a to oddziałało decydująco na dalszą akcyę eskadry Rożdiestwieńskiego, która przed rozpoczęciem oblężenia powinna znaleźć się na wodach wschodnich i uzyskać podstawę operacyi, t. j. dostać się do Władywostoku.

We Władywostoku czynią też obecnie na gwałt przygotowania do oblężenia. Miasto straciło już charakter miasta kupieckiego, a po ulicach przeciągają ciągle patrole. Powydalano z miasta już dawno wszystkich Chińczyków, zatrzymawszy tylko tych, których pomoc może być potrzebną. Japończyków, zabranych latem na skonfiskowanych przez eskadrę władywostocką okrętach japońskich, wysłano jeszcze w jesieni w głąb Rosyi, gdyż zatrzymanie ich we Władywostoku było rzeczą niebezpieczną. Rycina nasza przedstawia właśnie przybycie jeńców japońskich do Władywostoku, których oczekiwali nad brzegiem morza żołnierze i licznie zebrani mieszkańcy Władywostoku. Oglądano tych synów Japonii z zaciekawieniem, gdyż nawet ich powierzchowność wzbudzała nie mniejszą sensacyę, od ich bohaterskiego męstwa — i brawurowej odwagi.



Z wojny ros.-jap.: Admirał Kamimura komendant eskadry japońsk., blokującej Władywostok.

Ale minęły te czasy, kiedy carat rosyjski, ufny w swą potęgę i siłę niezwyciężoną, jeńców, powiązanych łykiem, wprowadzał tryumfalnie do swych miast i zamków.

Minęły bezpowrotnie te chwile, gdy przy dźwiękach muzyki wjeżdżały sotnie kozackie do miast mandżurskich (patrz na naszą rycinę), gdy bezkarnie rabowano i wyzyskiwano Chińczyków i dopuszczano się w tryumfalnym pochodzie zaborczym nowych gwałtów na tubylcach.

Dziś po bitwie pod Mukdenem liczba jeńców rosyjskich w Japonii wzrosła do tak olbrzymiej cyfry, że można z samych jeńców stworzyć potężną armię. Wiadomo, że w bitwie mukdeńskiej, w której uczestniczyło około 850 tys. ludzi z obu stron, wzięli Japończycy olbrzymią ilość jeńców rosyjskich, tak, że obecnie znajduje się na wyspach japońskich 86 tys. żołnierzy rosyjskich, wziętych do niewoli.

Z placu boju dochodzą — tak z jednej, jak i z drugiej strony, niesprawdzone na razie wiadomości o ruchach i operacyach na lądzie.

Do takich wiadomości należy zaliczyć doniesienie, że konne oddziały japońskie zjawiły się w odległości 30 kilometrów od Charbina. Przypuszczają, że to mogły być istotnie awangardy tej armii, która z Fakuszanu dąży wprost do Cycykar.

W bitwie pod Mukdenem uczestniczyła tylko część nowej armii, pod dowództwem generała Kawamury. Część ta wspierała prawe skrzydło japońskie, walczące pod Gutulinem i wraz z armią Kurokiego przypuszczała szturmy do tej przełęczy, bronionej zawzięcie przez Rosyan. Reszta tej armii pozostała w Korei północnej i według niesprawdzonych wiadomości, podąża pod wodzą Kawamury ku Girynowi, dokąd od doliny rzeki Tumen, ku dolinie Sungari, prowadzą dogodne drogi, umożliwiające nawet marsz forsowny.

To też w niemałej obawie znajduje się obecnie generał Liniewicz! Jest rzeczą zupełnie możliwą, że do Girynu dojdzie generał Kawamura prędzej. niż cofająca się armia Liniewicza. Giryn, według powszechnego mniemania, jest obecnie kluczem pozycyj rosyjskich nad rzeką Sungari. Z chwilą zajęcia Girynu przez wojska Kawamury, sytuacya dla armii rosyjskiej stanie się niebezpieczną, albowiem wtedy prawdopodobnie musiałby Liniewicz stoczyć pod Girynem nową bitwę, której wszystkie szanse zwycięstwa byłyby po stronie japońskiej. Nadto z zajęciem Girynu, zyskują Japończycy nową linię komunikacyjną — rzekę Sunguri, która od Girynu jest spławną.

O ileby się ten manewr oskrzydlający udał, to skutki jego będą miały wielkie znaczenie nietylko ze względu na wyparcie armii rosyjskiej z Charbina, ale także ze względu na przedsięwzięte przez Japończyków operacye przeciw Władywostokowi. Wyparcie Rosyan poza Charbin pozwala Japończykom na zupełnie swobodne i szybkie działanie przeciw Władywostokowi, pozbawionemu wszelkiej pomocy i odciętemu tak od strony lądu, jak i od strony morza.

Widzimy więc, że Japończycy pospiesznie maszerują ku północy, że w operacyach na lądzie nie ustają i że w związku z ich operacyami stoi wyjazd floty Rożdiestwieńskiego z Nossi-Be ku północy. Rożdiestwieński musiał zdecydować się ruszyć ku Władywostokowi teraz jeszcze, kiedy nie rozpoczęło się jego oblężenie i póki jeszcze jest jakiś punkt oparcia nad Oceanem Spokojnym. Z chwilą, gdy Władywostok zostanie odcięty od lądu i rozpocznie się formalne oblężenie, flota rosyjska we Władywostoku zostałaby skazaną na taki sam los, jakiemu uległa flota port-arturska. Wtedy okropnem byłoby położenie Rosyi, ogołoconej z floty i pozbawionej okrętów wojennych, nietylko na Oceanie Spokojnym, ale i na morzu bałtyckiem.

W prasie rosyjskiej rozstrząsaną jest obecnie ponownie sprawa kapitana Klado. Wiadomo czytelnikom, że kapitan Klado jest jednym z tych dzielnych oficerów, którzy nie wahali się ostro skrytykować publicznie rządu rosyjskiego za projekt wysłania eskadry bałtyckiej na wody wschodnie i powiedzieć otwarcie, kto ponosi winę tego, że Rosya nie ma należytej floty i nie jest dość silną, by stawić czoło na morzu Japonii. Admirał Rożdiestwieński napisał list, w którym obwinia kapitana Klado, że publicznie ogłoszoną krytyką oddał złą przysługę drugiej eskadrze, ponieważ wiedział, że wysłanie posiłków jest konieczne — a Rosya nie była w stanie wysłać takich posiłków, jakie wysłać należało. Na list ten odpowiada kapitan Klado, mówiąc jasno, dobitnie i przekonywująco dla każdego, że zła przysługa leży w jakości posiłków. w wysłaniu tak słabej eskadry, że nie jest ona w stanie pokonać admirała Togo. Wina za to ciąży na zarządzie marynarki.



Z wojny ros.-jap.: Admirał Togo komendant eskadry japońskiej, która wypłynęła na spotkanie eskadry Rożdiestwieńskiego.

Jeżeli obecnie ministerstwo marynarki cytuje słowa z listu Rożdiestwieńskiego, że krytyka eskadry bałtyckiej przez kapitana Klado podniesie odwagę Japończyków — to czyni to chyba dlatego, że chce osłonić jakieś inne, nieprzyjemne dla ministeryum odkrycia.

„Przestarzałe urządzenia i brak wszelkiego postępu w zarządzie floty — pisze kapitan Klado — są jedynymi przyczynami upadku naszej floty i one to spowodowały, że Japończycy mogli się z nią tak prędko załatwić. O rzekomem deprymującem wrażeniu, jakie mój list miał na oficerach wywrzeć, niech świadczy następujący telegram, jaki od oficerów pancernika „Orzeł“ otrzymałem: „Oficerowie pancernika „Orzeł“, zachwyceni pańskim artykułem, przesyłają Panu pozdrowienie. Niech Bóg użyczy Panu siły i wytrwałości w walce na pożytek Rosyi i jej floty“. Czytając to wszystko, widzimy dokładnie, jaka zgnilizna wewnętrzna i rozprzężenie panuje w Rosyi w całym zarządzie wojskowym — a nie będą dla nas niespodzianką wieści o klęskach Rożdiestwieńskiego.



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Jeńcy japońscy we Władywostoku.

KRONIKA LWOWSKA.

(Ruch przedświąteczny. — Nasze gosposie i ich czynności. — Grzechy kucharek będą odpuszczone. — Co ślubowali nauczyciele ludowi? — Nauczyciel, a koń tramwajowy. — Główna wygrana. — Der dumme hat Glück. — Korzyści miejskiego zakładu pogrzebowego. — Rozpacz p. Kurkowskiego. — Nowa epidemia. — Różne środki. — Walka dentystów. — Kalajew we Lwowie. — Nagana dla policyi — Ajent Günsberg ratuje sytuacyę. — Afera honorowa w Banku hipotecznym. — O dyrekcyę teatru krakowskiego. — Konkurenci Solskiego. — Wanda Siemaszkowa. — Inne gościnne występy. — Same senzacye. — Dwa tygodniki).

Tydzień przedświąteczny... Ruch na ulicach, ścisk w handlach, ruch na dworcu kolejowym, przepełnienie w tramwajach i kolejach, masowe wypróżnianie pugilaresów i sakiewek — natomiast pustki w teatrze, pustki w lokalach publicznych, w kawiarniach, tinglach...

W mieszkaniach generalne porządki...

To znaczy niesłychane nieporządki, zapomocą których nasze gospodynie dochodzą do porządków. A więc wszystko się czyści, trzepie, szoruje, maluje, bieli, czerni, przesuwa, rozsuwa, wysuwa, zasuwa, ustawia, rozstawia, przestawia, wystawia, zdejmuje, wyjmuje, rozwiesza, wywiesza, odkręca, zakręca, rozkręca, przykręca, nakręca, wykręca... ojoj! To święta idą...

A kuchnia piekłem się staje... piekło to nic! Dante, pisząc o piekle, miał zapewne na myśli kuchnię przedświąteczną.. Tym biednym sługom i kucharkom powinien Bóg już za ten jeden tydzień przedświąteczny wszystkie grzechy odpuścić... Odpuści...

Lecz nie zatrzymuję się w kuchni, aby nie przeszkadzać w przygotowaniach... to raz, a po drugie dlatego, że mnie stamtąd żona wypędziła, wyznaczając kącik w przedpokoju dla napisania dzisiejszej kroniki...

Z faktów, jakie w ubiegłym tygodniu zanotowałem (a mam ich sporo), wymieniam przedewszystkiem zaprzysiężenie 86 nauczycieli i nauczycielek ludowych, którzy ślubowali wobec wiceprezydenta Michalskiego czystość, sumienność w pracy i posłuszeństwo bez szemrania. Ośmdziesięciu i sześciu nauczycieli ludowych przyrzekło panu wiceprezydentowi uroczyście, ćwiczyć się odtąd w zawodzie głodomorów, nie narzekać na przełożonych, czekać cierpliwie dziesiątkami lat na poprawienie doli, nie brać kubanów, stać pod ścisłym nadzorem nietylko bezpośrednich przełożonych — ale nawet i c. k. żandarmeryi, nie mieć żadnych przekonań politycznych, z tak marnej pensyi żyć odpowiednio do stanu. wyżywiać rodzinę, nie umrzeć z głodu i zazdrościć losu koniowi tramwajowemu, który pracuje tylko trzy godziny na dobę i za to ma już dostateczne utrzymanie, nie potrzebując troszczyć się o żonę i dzieci, ani poprawiać do północy szkolnych wypracowań pisemnych. Nie jeden nauczyciel ludowy chciałby być koniem tramwajowym...

Wogóle miała nasza rada miejska w tym tygodniu wiele zasług do zanotowania. Przedewszystkiem wzięła — co prawda niewinnie — główną wygraną 300.000 koron na los komunalny, który to fakt zakomunikowany przez p. Michalskiego na posiedzeniu rady, wywołał wybuch nie tyle radości, ile szczerego śmiechu. Los ten bowiem uchwalono już dawno sprzedać, a tylko dzięki niedołęstwu magistratu nie uczyniono tego dotychczas... Magistrat teraz twierdzi, że przeczuwał wygraną, dlatego zwlekał ze sprzedażą losu... Sądząc z innych, nie wykonanych dotąd uchwał rady miejskiej, magistrat musi mieć jeszcze inne, bardzo liczne przeczucia... I gotów znów coś wygrać...

Druga korzyść zapowiada się dla naszej gminy przez urządzenie miejskiego zakładu pogrzebowego, ażeby stworzyć konkurencyę dla pana Kurkowskiego i tow. i wygodę dla P. T. umierających, bo nawet i na tem polu panuje u nas dotąd niesłychana drożyzna. Ażeby zachęcać ludzi do umierania i pogrzebania się w miejskim zakładzie pogrzebowym, ustanowi rada ceny niskie, nawet dla najuboższych nieboszczyków dostępne, zakupi kilka lepszych i tańszych karawanów stosownie do tego, jak kto zechce być pochowanym, a ponieważ jeden z radnych zauważył, że nawet i żydzi czasami umierają w mieście i jako lojalni obywatele, pragnęliby dać się pochować przez miejski zakład pogrzebowy, przeto postanowiono zakupić jeden karawan wyznania mojżeszowego dla żydowskich nieboszczyków — a także jeden rodzaju nijakiego dla dzieci. Będzie więc teraz przyjemność umierać, czem Kurkowski jest tak zrozpaczony, że chciałby naraz całe miasto wraz z okolicą bodaj bezpłatnie pochować, ażeby konkurencyjnemu zakładowi miejskiemu nic nie zostało...

Na razie jednak jest to jeszcze niemożliwem do przeprowadzenia i zdrowie panuje w mieście epidemicznie. Coś tam wprawdzie bąkają o jakiejś nowomodnej epidemii *meningitis*, ale zadawalających rezultatów. których p. Kurkowski codziennie oczekuje, nie widać, wobec czego on tej epidemii nie uznaje. W dodatku znaleźli się — tam, gdzie lekarskie powagi są bezradne — jacyś niepowołani znachorzy i radzą każdy na swój sposób, jak zapobiedz zapaleniu opon mózgowych.

I tak spółka pszczelarska w Brzeżanach ogłasza w dziennikach, że jedynym środkiem jest jej miód, p. Naftuła Toepfer zaleca swoje trunki jako niezawodny środek na tę chorobę, prof. Dybowski radzi po raz niewiem już który pić czystą herbatę i unikać trunków oraz starych kobiet, p. Ichnatowicz uznaje jako jedyny środek swoje mydła i perfumy, któremi na posiedzeniu rady każe polewać ulice miasta, oburzając się słusznie na śmiecie uliczne, Lucyan Rydel każe chodzić do teatru na swoje sztuki, a pewien lekarz socyalista zaleca jako niezawodny środek przeciw tej epidemii równe, powszechne, bezpośrednie i tajne prawo głosowania.

O wiele więcej hałasu narobiła kłótnia dwóch dentystów: Wiktora i dra Fruchtmana, wynikła z ostatniego wypadku śmierci z powodu zakażenia krwi przez zatrucie zęba.

Na szpaltach pism w rubryce „*Nadesłane*“ obaj panowie załatwiają swoje rachunki, wymyślając sobie i grożąc wzajemnie skargami i wzajemnem wyrwaniem sobie wszystkich zębów bez poprzedniego znieczulenia. Prokuratorya bardzo pilnie czyta tę korespondencyę i poważnie się niepokoi — policya jeszcze dotąd nie wkroczyła, gdyż walka ta nie ma tła politycznego.

Natomiast zaniepokoiła się nasza policya więcej, skoro dowiedziała się, że bawił przed kilku laty we Lwowie Kalajew, późniejszy zabójca W. Ks. Sergiusza, a ona o tem wiedziała i nie przeczuła nieszczęścia. Dyrektor policyi zwołał do siebie wszystkich komisarzy i ajentów i czynił im z tego powodu gorzkie wymówki, twierdząc, że żaden z nich właściwie nie nadaje się do służby policyjnej i radził im wystąpić ze służby i założyć sobie fabrykę pierników lub coś podobnego. Wszyscy obecni byli bardzo zawstydzeni, a ajent Günsberg uczuł się do tego stopnia dotkniętym, że przyrzekł do trzech dni dostawić kogoś, kto za lat kilka popełni podobny mord polityczny. Podają tych kilka słów, ażeby przestrzedz wszystkich lwowskich światoburców — bo pan Günsberg już szuka...

Na wiadomość, iż kilku pisarzy dramatycznych oświadczyło się za oddaniem dyrekcyi teatru krakowskiego Wyspiańskiemu, twierdząc, że czynniki miarodajne powinny się były do nich zwrócić z zapytaniem, komu należy teatr krak. powierzyć, mają zwołać recenzenci teatralni zgromadzenie i ogłosić odezwę, że to oni właściwie są sędziami teatralnymi i ich przedewszystkiem należało zapytać, komu oddać dyrekcyę teatru krakowskiego, zaczem proponują na krakowskiego dyrektora p. Cepnika albo Melińskiego. Tak samo twierdzą suflerzy, że bez nich nie obszedłby się żaden teatr, a ze swej strony proponują p. Żymirskiego na dyrektora.

Orkiestra teatralna ogłosi podobną odezwę — w której zalecać ma p. Elszyka; czteronożny balet lwowski zaproponuje pannę Staszkównę, a personal administracyjny wysunie Pichora. Słowem, Solski ma dużo konkurentów.

Ponieważ zanosi się na to, że państwo Solscy przeniosą swoje lary i penaty do Krakowa, przebąkują już dziś o tem, że miejsce p. Solskiej zajmie Wanda Siemaszkowa, która w ubiegłym tygodniu po dłuższej wędrówce rozpoczęła drugą seryę gościnnych występów, grając te same, co poprzednio role. Inni sądzą, że „szalona Julka“ — jak ją tu nazywają — nie zagrzeje długo miejsca i wkrótce pogna dalej. Na razie robi kasę. Ponadto gramy ciągle „Dom na Halickiem“, gdzie Feldman i Kwiatkiewicz wywołują wybuchy serdecznego śmiechu.

Z innych gościnnych występów wymieniam: przyjazd ministra Gołuchowskiego do Lwowa i występ niedźwiedzi w Colosseum.

Do senzacyj ubiegłego tygodnia należą: panika w teatrze, wywołana naturalnie przez jakąś panią, naturalnie bez powodu; wystąpienie prof. Dybowskiego z Eleuteryi, skutkiem czego w całem mieście podskoczyły ceny napojów alkoholicznych; kompromitacya inteligentnego a przytomnego rajcy, p. Makowicza, który dowiódł, że fotel radziecki nie koliduje z kołtuństwem tumana; samobójstwo kupca, spowodowane zachłannością radnego Walichiewicza i wreszcie ślub Przybyszewskiego, a raczej wiadomość o ślubie, która na wszystkich gorących wielbicielach tego poety wywarła kolosalne wrażenie.

„Teatr polski“ — tygodnik poświęcony teatrom polskim galicyjskim i zagranicznym, który przed miesiącem zaczął tu wychodzić, wydał cztery numery okazowe i zawiesił wydawnictwo.

Zachęcony podobno tem powodzeniem, inny wydawca puścił w świat pierwszy numer jakiegoś ilustrowanego tygodnika i bije po 10.000 egzemplarzy, ażeby czemprędzej załatwić się z nagromadzonym materyałem papierowym i pieniężnym — i pójść w dobrze dziś już zasłużony stan spoczynku.

Klewe.



Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.
Helena Pawińska.

Helena Pawińska.

Jedna z tych młodych, co to śmiało pną się w górę... Powiedział Schoppenhauer, że silny popęd jest pierwszą oznaką wielkiego talentu... Jeżeli mamy wierzyć słowom tego filozofa, to pani Pawińska jest wielkim talentem... Bo w sztuce scenicznej jest szczerze zakochana i miała wiele przeszkód do zwalczenia, zanim rodzina pozwoliła p. Helenie pójść w aktory... I poszła... jest.

Uczyła się u Żelazowskiego. Już sama ta rekomendacya jest dostateczną miarą dobrej szkoły... Przyszła odrazu na scenę lwowską, gdzie bawi już drugi rok. W tym krótkim czasie repertuar młodej a tak bardzo utalentowanej artystki objął kilkadziesiąt pierwszorzędnych ról... Kto zna stosunki teatralne we Lwowie, gdzie personal jest taki liczny, ten zrozumie łatwo za jak cenną siłę uważać musi umiejętna reżyserya lwowska P. Pawińską, skoro w tak krótkim czasie powierzyła jej tyle ról... I reżyserya zapewne tego nie żałuje...

Exterieur ogromnie miłe... Twarzyczka choć stosunkowo drobna, ale rysy wyraziste i wyborna gra sceniczna.

Pierwszorzędną zaletą p. Pawińskiej jest jej głos o brzmieniu miękkiem, szlachetnem, dźwięcznem i ta możność naginania głosu, mianowicie zniżania go, gdzie tego potrzeba, co przy rolach stylowych jest zaletą nader cenną, idącą na wagę złota... Dykcya doskonała. Przytem bardzo wiele szczerego uczucia, umiejętność cieniowania i intonacyi, a na ogół w każdej roli znać wielką sumienność w pracy.

Pracuje w rolach liryczno-dramatycznych, salonowych i stylowych. Do tych ostatnich sposobi się specyalnie... Całkiem słusznie... Lecz nie jest to owa dawna, sucha, już dziś przeżyta koturnowa stylowość szekspirowskich kobiet, przetransponowana na kamerton modernizmu.

To, czem p. Pawińska dziś jest. jest dopiero zadatkiem na przyszłość. Jest to artystka młoda i pracuje nad sobą sumiennie, z umiłowaniem...

Reżyserya powinna jej w tem być pomocną... Prócz ról lirycznych i stylowych, grywa i młode mężatki, przyczem wygląda rozkosznie, a gra z werwą i humorem.

Summa: wiele zapowiadający talent w bardzo sympatycznem *etui*...

Klewe.

ANTONI CZECHOW.

WILK

(Z prac drukowanych po śmierci autora).

Z rosyjskiego przełożył M. S.

3 (Dokończenie).

— Naturalnie, głupstwo!

— No! dziękuję ci! dziękuję mój kochany! — zaśmiał się Niłow, zacierając ręcę z radości. — Teraz mój kochany, dobry i mądry przyjacielu, teraz jestem spokojny... Jestem zadowolony, nawet szczęśliwy, jak Boga kocham!... Nie! słowo honoru... całkiem szczęśliwy!...

Niłow chwycił Owczynnikowa w swe ramiona i ucałował go trzy razy. A potem ogarnęła go tak chłopięca wesołość i pustota, do której mają pociąg ludzie silni z natury. Pochwycił ze stołu podkowę i chciał ją rozprostować, ale ból i radość pozbawiły go dawnej siły. Porwał więc tylko lewą ręką Owczynnikowa i zaniósł go z salonu do jadalni, a gdy wychodził już od niego, był taki wesół i szczęśliwy, iż zdawało mu się, że wraz z nim, cieszą się i te drobne łezki, których nie zdołał jeszcze otrzeć z swej czarnej brody.

Gdy szedł po schodach, śmiał się radośnie swym potężnym basem i z taką siłą wstrząsnął poręczą, że kilka prętów wyleciało z trzaskiem, a całe schody zadrżały w posadach.

— Co to za olbrzym! — pomyślał Owczynnikow, spoglądając na jego rozrosłe bary—co to za wspaniałe chłopisko!

Niłow, siadłszy na wózek, zaczął z całą dokładnością opowiadać parobkowi szczegóły swej strasznej walki z wilkiem na tamie pod młynem.

— Ot, to była zabawka! — zakończył z wesołym uśmiechem — ot i będzie znów o czem wspominać na starość! No, poganiaj Czyszka! poganiaj!...

KONIEC.

FATALISTA

podług Lermontowa

SKREŚLIŁ ALEKSY M.

I na czem mogło spływać życie młodych oficerów w małem miasteczku kaukazkiem, którego załoga ze względów politycznych liczbą swą trzy razy conajmniej przewyższała cyfrę mieszkańców?

Ba, czem? Chyba tylko na koleżańskich zebraniach, przy których pienił się szampan w kieliszkach i padały na stół karty!

Gra i butelka były jedną jedyną ucieczką oficerów, przed tą straszną, szaloną nudą — jaka czekała ich po ukończeniu koszarowych zajęć.

I teraz właśnie w oficerskim kasynie, mieszczącem się w jednym, jedynym pokoju, jednej, jedynej, ale „pierwszorzędnej" restauracyi, zabawiało się grono oficerów różnych pułków i różnych stopni. Szampan perlił się w kielichach, strzelały korki i salwy śmiechu, wywoływane mniej lub więcej udałemi, mniej lub więcej pikantnemi anegdotkami i wszyscy byli weseli, rozbawieni...

Wszyscy, z wyjątkiem młodego porucznika od Czerkiesów Osipa Iwanowicza Roztruchanowa, który sam jeden siedział dziwnie pochmurny i posępny, chociaż nie licowało to ani z jego otoczeniem, ani z jego gorącym, namiętnym charakterem Gruzina, który choć wychowany w carskiej szkole i obłaskawiony, jak sokół zawsze ma w swej krwi drapieżność, zawsze był gotów zrzucić okowy i pęta, w jakie go spowito, w jakie skuto jego wolną, szeroką naturę.

Widok posępnego towarzysza wśród rozbawionej gromadki, zdziwiłby był każdego obojętnego widza, nie mógł więc też ujść ogólnej uwagi wszystkich zebranych oficerów, tem bardziej, że Osip Iwanowicz Roztruchanow znany był jako jeden z najweselszych kompanionów.

— Hejże, Osip Iwanowicz! — zawołał porucznik konnej artyleryi Nebogatow — a cóż wy tak siedzicie, jakbyście nie nosili czerkieskiego munduru tylko rasę*) jakiego czernika?

— Da, da! — zaczął przytakiwać mu oficer od piechoty Karnakow — ot chmura mu czoło zakryła, smutek mu w serce się wdarł. Widno jakaś kaukazka syrena odebrała mu radość. Zmoże kochanie każdego, czemużby więc nie miało zmódz i Czerkiesa?...

Roztruchanow uśmiechnął się smutnie.

— Ot m i kochanka i kochanie! — rzekł zwolna, jakby zniechęcony, uderzając ręką po głowni szaszki — ta mi wierna była, jest i będzie, a że mam w sercu smutek, że mi do wesela dziś nie skoro, to i nie dziwcie się bracia. Ot, żal młodemu życia, żal mi za prędko iść do grobu...

Huczny śmiech powitał słowa Czerkiesa.

— Roztruchanow! ogłupiałeś ty bracie, czy jakie licho? Cóż ty sobie o śmierci kraczesz, jak puszczyk jaki? Ot, zadzwoń z nami w kieliszki, a gdy cię może twoja luba zdradziła, to krzyknij z nami „naplowat'!"

— Tak, tak! krzyknij „naplowat'!" i odrazu umieść gdzie indziej kapitały swego serca, ale tak, żebyś przynajmniej pobierał procent od niego...

— O śmierci ci gadać Roztruchanow? Trąć się ze mną bracie i śmiej się z tego! nikt jeszcze z miłości nie umarł, a szkodaby było, żeby taki chwat, jak ty, dla głupiej jakiejś spódniczki, chwycił rewolwer do ręki!...

I wszyscy oficerowie z kieliszkami w rękach przystąpili do młodego Czerkiesa.

Roztruchanow powstał, dłonią przeczesał swą bujną, kędzierzawą, czarną niby węgiel czupryne, ujął za kieliszek i wychylił go do dna, lecz chmura, co mu zakrywała oblicze, nie znikła wcale.

— Hej bracia! — szepnął, stawiając kielich na stole — przeczucie mi mówi, że nie będę ja już was tu jutro wieczorem oglądał! W trzy dni za moją trumną pójdziecie, to pewne!

— A skądże te dzikie myśli? Co wam chodzi po głowie, Osip Iwanowicz?

— Gadajcie, co chcecie! Żal człekowi umierać, chociaż się śmierci nie boi. A ja, ot Czerkies-Gruzin, jestem fatalistą i wierzę w to, że musi mnie śmierć spotkać, jeśli mi pisana, a że na dziś pisana, to w duszy czuję, to mi głos jakiś gada, to mi cień jakiś, co stoi za mną, wciąż szepce do ucha!...

Śmiech był odpowiedzią na słowa Czerkiesa. Oficerowie w braku innej zabawki, zaczęli kpić z niego — i wydrwiwać tę „głupią gruzińską wiarę".

Roztruchanow siedział spokojnie, słuchał tych drwinek ze zmarszczonem czołem, ale nic nie mówił i dopiero, gdy ktoś rzekł, że to wstyd, aby wojskowy bał się śmierci, której właśnie służy jako cel, czy jako narzędzie, zerwał się z krzesła, kopnął je z całą siłą i stanął przed porucznikiem artyleryi, który nosił na sobie służbowe odznaki.

— Nebogatow! — rzekł ostro — ty masz dzisiaj inspekcyę w garnizonie? ty w służbie?

— Tak! — odpowiedział zagadnięty z tem zdumieniem w twarzy, jakie budzi to, gdy ktoś pyta się o jakąś tak zwaną publiczną tajemnicę. — Czy ty Osip Iwanowicz nie widzisz, że jestem w służbowym mundurze?

— A czy podług przepisu? — badał dalej Roztruchanow.

— Jakto?!...

— No pytam, czy masz rewolwer nabity?

— Spodziewam się! sześć kulek w nim siedzi!

— Pokaż?!...

I Roztruchanow chwycił ręką za futerał rewolweru Nebogatowa.

— Cóż ty?!... — oburzył się porucznik — cóż ty Osip Iwanowicz chcesz mnie kontrolować? Skąd moc masz, jakie prawo?...

— Daj spokój bracie! — rzekł poważnie Czerkies — kontrolować cię nie chcę i prawa do tego nie mam, lecz pozwól mi na chwilę rewolweru, a ja coś wam pokażę.

Nebogatow podał koledze rewolwer, a on ujął go w prawą rękę i spojrzał badawczo w oczy Nebogatowa.

— Powiadasz więc, że rewolwer jest nabity? — rzekł z naciskiem.

Nebogatow wzruszył ramionami.

— Powiedziałem ci to już raz i oficerskiem słowem ręczę — odparł — że sześć ostrych naboi sam włożyłem do niego przed objęciem służby.

— Dobrze! — szepnął Roztruchanow i trzymając rewolwer w ręku zadzwonił w kieliszek.

Na twarzy jego malowała się taka powaga i determinacya, że śmiechy scichły a oczy wszystkich zwróciły się ku Czerkiesowi.

A Roztruchanow usunął się cokolwiek od stołu i utkwił swe czarne, palące źrenice w podchorążym od batalionu strzelców — kniaziu Raskoczynowie.

— Panie podchorąży! — odezwał się jakimś dziwnie twardym głosem, tak jakby komenderował swoją sotnię na paradzie — panie podchorąży, tu koledzy wyśmiewali moje przeczucie, ale pan zarzuciłeś mi, że ja się boję śmierci!... Ja się jej boję?... Patrz pan, panie podchorąży, jak to ja się jej boję!...

I zanimby ktoś zdołał temu przeszkodzić, młody Gruzin przyłożył lufę rewolweru do prawej skroni i nacisnął cyngiel...

Kurek podniósł się i spadł z głuchym trzaskiem, ale rewolwer nie wypalił.

Roztruchanow opuścił rękę i podał najbliżej siedzącemu oficerowi rewolwer.

— Popatrz na naboje kolego!...

Wezwany wykręcił naboje i rzucił je na stół. Wszystkie były ostre, a na jednym z nich znać było ślad z uderzenia kurka. Oficer scyzorykiem dobył kulę z patronu i wysypawszy na rękę proch patrzył nań chwilę, poczem zsypał go na kawałek papieru i podpalił zapałką.

Proch był dobry. Zajął się, strzelił w górę płomieniem i kłębem dymu i zagasł.

Rozsruchanow spojrzał dumnie wokoło.

— Oto ci kniaziu, jak ja się boję śmierci, a jednak, chociaż ominęła mnie ona w tej chwili, czuję, że niedożyję do jutra wieczora!... Hej, gospodarzu! jeszcze pięć butelek szampana!...

Oficerowie ze zdumieniem patrzali na Czerkiesa, który przed chwilą okazał takie lekceważenie życia, a mimo to nie mógł uwolnić się od tej przygniatającej myśli, że niebawem będzie musiał pożegnać się z tym światem.

Tymczasem strzeliły butelki i szumiący płyn zazłocił się znowu w kieliszkach.

— Pijcie bracia, pijcie! zachęcał kolegów Roztruchanow — dziś moja stypa, a na mojej stypie powinno być wesoło tak, jak wesołe było moje życie!...

— Głupstwo Osip Iwanowicz! pić można i weselić się możem, ale daj ty już spokój tym smutnym myślom! — odezwał się Kornakow, podnosząc do ust kieliszek. — Co to jest fatalizm? Głupstwo, bajka prosta, dobra dla ciemnej hołoty! Ot, wymyślił ją sobie Mahomet, bo był dowcipny. Jak masz zginąć dziś, to zginiesz, nie padniesz w boju, to skończysz w łożu, albo przy ognisku obozowem, mówił do swoich wojowników, a oni mu wierzyli i szli jak straceńcy do walki! Co to jest fatalizm? Bajeczka dobra dla czerni i koniec!...

Ale kilku Gruzinów wzięło stronę Roztruchanowa i rozmowa potoczyła się dalej tym torem Oficerowie spoważnieli i każdy zaczął przytaczać wszystkie argumenty, jakie miał *pro* lub *contra* fatalizmowi.

A tymczasem na dworze zaczęło już szarzeć. Noc ustępowała świtowi, który zaróżowił białe chmurki kaukazkiego nieba, zwiastując, że niebawem złota kula słońca zabłyśnie na wschodzie.

Roztruchanow podniósł się z krzesła i przypasał szablę. Był już zupełnie spokojny i tylko w źrenicach migotały mu jeszcze błyski tej samej determinacyi, którą wyrażała jego śniada twarz, gdy przykładał rewolwer do skroni.

— Bywajcie zdrowi koledzy! — rzekł, wyciągając prawą dłoń ku oficerom — na mnie czas, bo służbę mam dzisiaj z moją sotnią w barakach za miastem.

Nebogatow ujął rękę Czerkiesa.

— Zaczekajcie Osip Iwanowicz, jeszcze kwandrans. Wysuszymy sobie jeszcze jedną butelczynę, a potem pójdziemy razem!...

— Na pierwsze zgoda — uśmiechnął się Roztruchanow — na drugie nie! Pocóż mamy iść razem, kiedy wasza kwatera jest w innej stronie?

— Jak wola! — odparł Nebogatow. — Chciałem was odprowadzić...

— Boicie się, że sam do domu nie trafię? Szkoda waszej fatygi, a za dobre chęci dziękuję. No, pijmy bracie, bo czas leci, a służba nie drużba, u nas nie wolno się spaźniać!...

W kwandrans później Roztruchanow opuścił gospodę i stanął na ulicy. Miasteczko zbudziło się już ze snu; ludzie kręcili się już w różnych kierunkach, od strony targu dolatywało skrzypienie dwukonnych arb gruzińskich i mięszało się z rykiem zaprzężonych w nie wołów.

Czerkies odetchnął pełną piersią, zapiął płaszcz pod samą szyję i raźnym krokiem puścił się w stronę swej kwatery.

Minął już kilka uliczek i podchodził właśnie do koszar kozackich, gdy posłyszał za sobą krzyki trwogi i głos kroków uciekających ludzi.

Oficer stanął i spojrzał poza siebie. Kilku ludzi z widoczną trwogą w twarzy biegło w jego stronę, co tylko im sił starczyło.

Roztruchanow zatrzymał starego Gruzina, który chciał przebiedz koło niego.

(Dokończenie nastąpi).

*) rasa — suknia zakonna.



„Baby w drodze”.

(Humoreska).

Było to podczas „święconego“, przed paru tygodniami, a ja znajdowałem się w gościnnym domu pp. radcostwa.

Gospodarza nie zastałem, sama pani radczyni pełniła „honory domu“, które obecnie przybrały wyraz w kopiasto nałożonym talerzyku szynki i kieliszku wina.

Westchnąłem tylko — biorąc do ręki nóż i widelec — a westchnienie to, przez dziwne kojarzenie pojęć, naprowadziło mnie na melancholijną kwestyę: dlaczego ci krawcy robią takie ciasne kamizelki?

— Może kawałeczek babki? — ponawia gastronomiczne swoje ataki radczyni.

Spojrzałem miłosiernie.

— Nie, pani — odparłem z nieznaną mi nigdy jeszcze stanowczością i z niezachwianem postanowieniem, że już żadna ludzka siła nie zdoła we mnie wmusić ani okruszyny ciasta, ani kropeleczki wina.

— Nie, pani — powtórzyłem — w rekompensacie jednak za odmowę, opowiem łaskawej pani prawdziwą, z życia mego wziętą, tragiczną historyę o „babach“. Jak pani wiadomo, jestem starym kawalerem i takim do grobu ślubuję już zostać!...

— No! no! nie zarzekaj się pan — przerwała moja interlokutorka.

— Za pozwoleniem — ciągnąłem dalej — miałem swojego czasu i ja popędy matrymonialne. Panienka, w której się kochałem, nie była ani ładna, ani brzydka, mająteczek miała niewielki, dosyć ogładzona i oczytana — ot przeciętny typ „narzeczonej“.

Zajmowałem skromną posadę przy pewnej instytucyi finansowej, a los i dyrekcya rzuciły mnie do małego miasteczka X. Rodzice mojej narzeczonej mieszkali w Krakowie i jasną jest chyba rzeczą, że każdą sposobność, każdy urlop użytkowałem na przejażdżki do Krakowa, gdzie godziny całe i dnie spędzałem w domu przyszłych moich teściów.

Może dlatego właśnie, że tak często „absentowałem się“ — mówiąc językiem urzędowym — danego urlopu na Wielkanoc nie dostałem. Ha! trudno! — pomyślałem, idąc ze spuszczonym nosem z biura mego naczelnika — trzeba się z losem pogodzić, no i osłodzić go, o ile się to da, „tej prowincyonalnej zakazanej dziurze“.

Osłodzenie to polegało — jak się łaskawa pani zapewne domyśli — na pewnem *quantum* butelek rozmaitej wielkości i treści i zamówieniu w jednym jedynym hotelu naszego miasteczka „sali gościnnej“.

Koledzy się znaleźli, a nawet bawiąca chwilowo w naszem miasteczku trupa aktorów — dostarczyła silnego kontyngensu gości ucztowych — nie wykluczając nawet kilku dość przystojnych i młodych „artystek“. Pamiętam, jedna z nich — Madzia jej było na imię, ładna blondynka z niebieskiemi oczkami. Trzeba pani wiedzieć, że pasjonowany byłem do blondynek! (Moja narzeczona była brunetką).

Otóż można sobie wyobrazić, jak rozkoszna była zabawa. Koledzy moi pili w zawody z aktorami. Komik opowiadał zakulisowe facecie, amant przewracał do mnie oczami, jak do heroiny na scenie — a Madzia? No! Madzia była bardzo wesoła, milutka...

Nagle wbiega kelner.

— Czy jest pan...

— Jestem! Czego?

— Depesza!

— Dawaj!..

Podszedłem do okna, by ukryć pomieszanie i niepokój, rozrywam pieczęć i czytam:

„Wesołych świąt!.. Baby w drodze — Kleofas“.

Kleofas — mój teść *in spe*... Co ta depesza ma znaczyć? Nieszczęście! nieszczęście!..

Biorę na stronę mego przyjaciela.

— Słuchaj! wszystko już zapłacone. Zlituj się, rozpędź jak najprędzej tę całą bandę, ale zaraz natychmiast!..

Co się stało, u djabła? — pyta mój przyjaciel.

— Nic nie mów, niema czasu do stracenia, patrz, patrz — mówię, pokazując mu zegarek — wpół do 6-tej. Za pół godziny przychodzi pociąg z Krakowa.

— Czyś ty oszalał?

— Więc masz — i wręczam mu druzgocącą depeszę.

— Nie rozumiem.

— Ależ czytaj: Moi teściowie mają w tem miasteczku dobrych znajonych, gdzie i ja bywam. Otóż chcąc im i mnie zrobić niespodziankę i wiedząc, że do nich na święta przyjechać nie mogę, przysyła do nich mój teść swoją żonę z córką... Ach ratuj! Jak się ta baba dowie o naszej bibie przepadłem!.. Ratuj!

Baby w drodze! baby w drodze! — Kleofas...

Zrozumiał! Zostawiłem go, z poleceniem pozbycia się gości i pędem pobiegłem na dworzec, by tam, o ile możności, jak najdłużej przybyłych zatrzymać i dać czas przyjacielowi do akcyi ratunkowej. Właśnie się spóźniłem.

— Czy pociągiem z Krakowa nie przyjechały dwie takie, a takie panie — pytam naczelnika opisując moje damy.

— Nie widziałem, choć byłem przy pociągu, ale zato jest do pana przesyłka.

Po rozmaitych korowodach dostaję w ręce ową przesyłkę...

Kij dyabli i na przesyłce adres pisany ręką teścia... Rozcinam sznurki, otwieram — na wierzchu list, a w paczce autentyczne, prawdziwe baby, na szczęście — z ciasta...

Odetchnąłem.
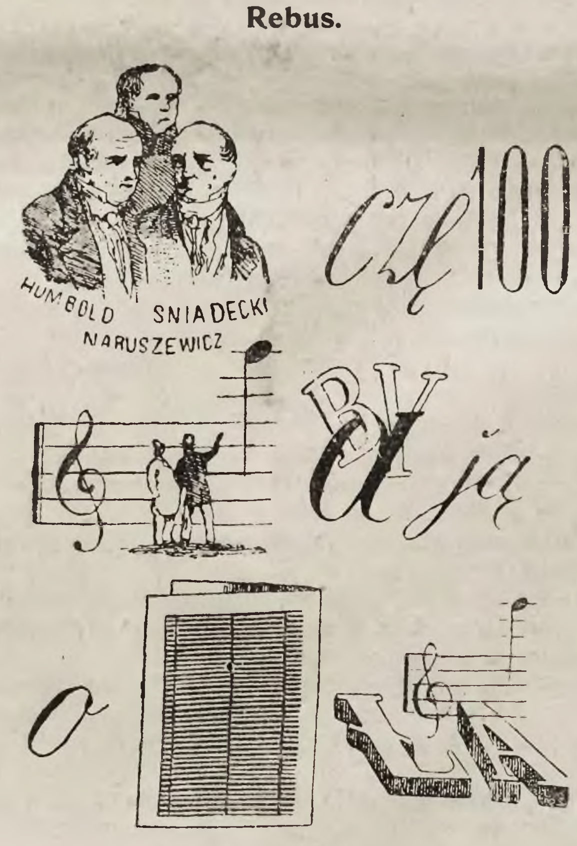
A więc o tych babach mi pan Kleofas — sygnalizował, a ja głupi myślałem...

Nie koniec na tem jednak. Zaalarmowawszy całe miasteczko, dworzec i hotel przyjazdem moich pań — nie pomyślałem o jednem. Znaleźli się uczynni, którzy o hulance mojej wielkanocnej donieśli rodzicom narzeczonej — i w tydzień miałem już jej pierścionek zaręczynowy — z powrotem u siebie...

Widzi pani — co to „baby“ mogą.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

ułożył W. K.

I.

Pierwsza wspak, z muzyką w zgodzie...
Druga wstecz — litera.
Czwarta-trzecia, gdzieś na Wschodzie:
Wiele krwi zawiera...
Wiecie, co oznacza *całe?*
Głosi cześć na Bożą chwałę!

II.

Hej! cieszcie się, młode pary,
Kiedy zabrzmi *raz-dwa* stary!
Wszystkie miłe i ochocze,
Więc kochane i cenione.
Całe żywe... też urocze:
Lica ich zarumienione,
Jako polne *pierwsze-trzecie...*
Wszystkie także smacznie jecie;
Na tem koniec, bo już wiecie!

Logogryf.

ułożył W. K.

Ułożyć 17 wyrazów w ten sposób, aby początkowe litery złożonych nazw — czytane z góry do dołu, i końcowe, czytane odwrotnie, wyrażały dwie melodye polskie.

Znaczenie wyrazów:

1. Rzeczka amerykańska.
2. Trucizna.
3. Przysłówek.
4. Bohater w wojnie trojańskiej.
5. Autor romansu „Nowa Heloiza“.
6. Hetman polski.
7. Oddział zbrojny.
8. Ryba.
9. Utwór Sienkiewicza.
10. Czasopismo polskie.
11. Zbiór rzeczy.
12. Starożytny naród.
13. Miasto w dorzeczu Narwi.
14. Bogini morza.
15. Imię męskie.
16. Miasto nad Niemnem.
17. Szaniec.

Do składni powyższych wyrazów użyć następujących sylab:

e, i, o, u, raz, au, nik, kop, szyn, hi, iu, lak, lo, wie, tarz, hu, se, ri, li, cel, ar, kny, no, sou, mil, gro, po, or, fiec, czar, rous, xes, za, sze, mis, soś, to, wen, dno, so niec.

Zagadka przysłowiowa.

ułożył W. K.

Któż nie wie, jaki urok ma piękna wiosenka,
Gdy zabrzmi wesoło jej pierwsza piosenka!
Jaka błogość czarowna serca nasze pieści,
Gdy kwiaty zakwitną — woda zaszeleści; —
Lub taki słowik, gdy w wieczornej chwili:
Dziękczynny paciorek srebrzyście zakwili!
Dnie ciepłe, pogodne -- czasem wietrzyk muśnie,
Lub młyn gdzieś zaszumi — albo rybka pluśnie.
Cały świat się cieszy, kiedy słońce świeci,
Jak ojciec, gdy zobaczy szczęście swoich dzieci!
Wiochna — córeczka, latko — syn przyrody!
Zywot ich zawsze: taki miły, młody!
. . . .
Zadanie jest takie — panie i panowie:
Wyszukać w tym wierszu ludowe przysłowie.

Arytmogryf.

W niżej podanych kombinacyach liczby zastąpić literami tak, aby w otrzymanych 17 wyrazach środkowe litery, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły imię i nazwisko poety polskiego.

Kombinacye:

12
12 2 18
17 1 24 8 20
17 8 9 1 3 8 6
3 8 9 19 3 2 13 1 2
17 6 24 8 14 1 8 13 1 8 7
25 24 8 6 25 24 8 16 3 19 18 23 9
12 2 24 1 3 1 8 6 24 22 1 8 9 12 1
12 2 24 1 3 1 8 6 24 18 8 18 3 2 15 8 6
7 2 4 2 9 9 19 18 18 1 12 2 6 19 9
15 21 24 8 10 3 8 20 19 10 10 8 6
7 20 6 23 25 18 23 2 13 1 2
12 9 8 19 3 8 11 8 25
7 2 6 2 3 14 2
5 2 15 3 2
6 8 13
6

Znaczenie wyrazów:

1) Spółgłoska. 2) Wykonawca najsurowszego wyroku. 3) Piramida w Egipcie. 4) Ostatni król Wandalów. 5) Zamiłowanie do jednej ze sztuk pięknych. 6) Rodzaj ssących skrzydlatych. 7) Dwa owady. 8) Król polski. 9) Poeta polski. 10) Nazwisko i imię poety włoskiego. 11) Imię i nazwisko współczesnego malarza polskiego. 12) Miasto w Norwegii. 13) Matematyk grecki. 14) Przekleństwo hiszpańskie. 15) Bóstwo starożytnych Litwinów. 16) Rzeka. 17) Spółgłoska.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy:

„Prywatne życie cesarza Wilhelma II. i jego żony“
Tajemnice dworu berlińskiego.
Z papierów i pamiętników Damy dworskiej.
Henry W. Fischera.

Rozwiązania z Nru 15.

Rebus: Praca podnosi człowieka, a leniuchowi brak czasu i ruszyć się nawet.
Szarady: Paganini — Okolica.
Logogryf: Hrabina Cosel — Resurrecturi.
Logogryf: Emigracya chłopska — Chłopi arystokraci.
Arytmogryf literacki: Adam Mickiewicz — Juliusz Słowacki

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: M. Opolska Czarny Dunajec, J. Habermann Mikulińce, K. Fuchs Peczeniżyn, Dobrzyniecki Widynów, E. Noss Czortków, T. Mytych Ostrowy, B. Ramułtowa Jeżów, Remiszewski Załawie, Stadnik Grabiny, Z. Gocka Rożniatów, S. Łaszkiewicz Słotwina, F. Josefert Kraków, M. Rożański N. Sącz, S. Andrysik Podgórze, J. Scheiger Brody, H. Mokrzycka Turbia, S Śliwa Gorlice, P. Smaga Śniatyń, K. Chodkiewicz Zbydniów, Z. Kowalski Stanisławów, M. Arbesbauer Lwów, B. Brzeziński Złotniki, S. Medycki Burkaczów, A. Ulrich Kraków, M. Gawlicki Kraków. G. Jakoby Lwów, J. Kobylański Honiatycze, H. Banke Kraków, Marya Rządcowa Kraków, Janina Jagiełłowicz Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Tomasz Mytych w Ostrowach Tuszowskich. Prosimy o nadesłanie 50hal. na koszta przesyłki.

Nowości w bluzach, halkach i bieliźnie

M. Beyer i Spółka
Kraków
Sukiennice l. 12, 13, 14

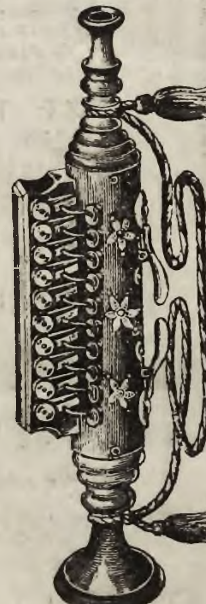
BEZ NAUCZYCIELA!
BEZ NAUKI I BEZ ZNAJOMOŚCI NUT!


Nr. 134.

może każdy grać na mojej trąbce samogrającej i flecie: pieśni, tańce, i marsze. Poleca się szczególnie na wesela i zabawy. Do każdego instrumentn dodaje się darmo łatwo zrozumiałą szkołę Przesyłka za zaliczką przez dom wysyłkowy instrumentów muzycznych

A. Scheuer
w Krakowie
ul. Grodzka 59/6.

Bogato ilustrowane cenniki instrumentów muzycznych oraz zabawek na żądanie darmo i opłatnie.


Nr. 135.

Nr. 134. Trąbka samogrająca ma 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, 36 cm., złr. 1·10, 3 szt. złr. 3.

Nr. 135. Flet na 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, fason cylindrowy, 40 cm., złr. 1·50, 3 szt. złr. 4.

ZMIANA LOKALU!
HANDEL TOWARÓW BŁAWATNYCH
z ulicy Dietlowskiej L. 66
na Rynek główny 6, I. piętro, do domu WP. Szarskiego (szara kamienica). Handel mój zaopatrzony został na sezon wiosenny i letni w największy wybór **towarów bławatnych i wełnianych.** — Wielka okazya w resztkach jedwabnych, firankach, portyerach, dywanach i t. d.

z wysokiem poważaniem **A. J. Klipper.**

Eleg. spodnie spacerowe złr. 2·50

poręczonej doborowej jakości, trwałe, posiadające najnowszy fason, solidny kolor i nienaganny wiedeński krój, sprzedajemy **za bezcen** jedynie z powodu olbrzymiego zapasu; przy odbiorze **2 par złr. 4·75.** Przy zamówieniu wystarczy podać całą długość, objętość w pasie i długość w kroku. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy przez

Dom Exportowy ubiorów męskich i dziecinnych
KRAKOW, GRODZKA 31.

Nieodpowiednie zamienia się bez jakichkolwiek trudności. Każde zamówienie na miarę z garderoby męskiej i dziecinnej zostanie również bardzo szybko i rzetelnie po najtańszych cenach fabrycznych uskutecznione. Aby się każdy mógł przekonać, o naszych niezrównanie niskich cenach, prosimy uprzejmie o zamówienie próbne i o liczne zwiedzanie naszego składu fabrycznego

Kraków, ul. Grodzka 31. — Dostawcy związku c. k. urzędników państwowych. — Filie: w Łańcucie i w Gorlicach. 2 10-29

Najtaniej w Krakowie, Grodzka 58
Bogaty wybór **Pierścionków zaręczynowych**
i obrączek ślubnych



Łyżki, łyżeczki, cukiernice i inne wyroby z chińskiego srebra.



Ubrania na zamówienia od 20 złr.

Ubrania gotowe od 10 złr.
Fraki, surduty od 20 złr.

wyrób krajowy

Kraków, ul. Floryańska 7 tuż przy Rynku.
Filia: Lwów, pl. Halicki 7 14

Związek katolickich Krawców.

F. WINCENCIAK, KRAKOW
GARBARSKA L. 4 (SKLEP)
WYRABIA OBUWIE MĘSKIE I DAMSKIE WEDŁUG FASONU ANGIELSK. I FRANCUSKIEGO.
CENY NISKIE — WYRÓB ZNAKOMITY.
14—18

ŚMIGUSY
Rozpylacze kieszonkowe do perfum,
Perfumy i wodę kolońską na wagę,
Pisanki i farby na jaja,
Farby, lakiery i glazury do podłóg
polecają
Reim i Spółka, Kraków, Rynek 37.

WĘGIERSKA
RÓŻANA Papryka Szegedyńska najlepsza, słodka, ręczę za prawdziwość, uznanej znakomitej jakości, własnego wyrobu klg. za 5 K. Wysyłka za zaliczką, począwszy od 1 klgr. opłatnie. Dalsze specyalności: **Słonina, węgierskie salami itp. b. tanio.**
Dom wysyłkowy różnorodnych produktów krajowych
Haupt A. Rudolf, Budapest
VII. Ovodagasse 22.

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich
Niemetz i Sp.
w Krakowie,
Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.

BIURO
NAUCZYCIELSKIE
Stefanii Łapszów
z Trembeckich Zwilling
Kraków, ul. św. Jana l. 2 róg Rynku Głównego
poleca:
Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.

ZMIANA LOKALU.
Mam zaszczyt zawiadomić Sz. P. T. Publiczność, iż z dniem 1 kwietnia 1905, mój Zakład zegarmistrzowski, znajdujący się dotychczas przy ul. Karmelickiej l. 14, **przeniosłem** pod **l. 6 ul. Karmelicka**
W. ZAKRZEWSKI.

Antoni Sadowski i Syn
krawiec
Kraków Floryańska 32.

„ARS“
Salon sprzedaży rzeźb i obrazów artystów polskich, otwarty codziennie w **dnie powszednie** od 10 do 1-szej zrana i od 2 do 4 po południu.
Ul. Bracka 5, na parterze.

„FLORA”
PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH
I SZKOŁA KROJU.
KRAKOW, PODWALE 13.



Spłaty częściowe!
dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.
Bezsprzecznie największy wybór!
Renomowana i powszechnie znana firma

Dom towarowy „AU LOUVRE“
we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)
poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.
Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.
By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.
Z poważaniem Zarząd firmy:
Dom towarowy „Au Louvre“
5-14 **Lwów, Sykstuska 6.**

Darmo i opłatnie otrzyma każdy mój bogato illustrowany cennik
Instrumentów muzycznych
oraz różnych
ZABAWEK



A. Scheuer, Kraków
ulica Grodzka l. 59/6. 7-52

CUKIERNIA
Kazimierz Sotschek
LWÓW
poleca się P. T. Publiczności.
Bufet w teatrze miejskim.
Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Posiadacze losów
mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę.
Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyj, losów i monet. — Ajentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.
Schütz i Chajes, Dom bankowy
we Lwowie, plac Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.